Nr. 23. Kraków, marzec 1910 r. Rok III.

STRAŻ POLSKA

wspólny organ stowarzyszeń: „Straż Polska" w Krakowie i „Polska Liga Narodowa" we Lwowie

wychodzi w połowie każdego miesiąca.

Prenumerata „Straży Polskiej" na rok 1910 wynosi 3 kor. — dla członków „Straży Polskiej" i „Ligi" 2 kor. (z przesyłką pocztową). Numer pojedynczy 30 hal.

Adres Redakcyi: Kraków, Rynek główny L. 39. | Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Kazimierz Bartoszewicz. | Adres Administracyi: Kraków, ul. Floryańska L. 1.

Czynów dla Polski!

Marzyć i kochać Polskę w marzeniach, jest to zupełnie jałowa rzecz.

Nie zasiądzie Ona nigdy na wymarzonym złocistym tronie, jeżeli go zbudujemy tylko w naszych głowach; nie zrzuci z siebie mglistej postaci, dopóki zamknięta pozostanie w myślach i uczuciach. Napróżno wyciągać będziemy ramiona ku sennej marze, choćby anielsko piękną, świetlaną i bosko doskonałą była, jeżeli jej postaci nie zapragniemy i nie potrafimy wcielić.

Marzenia nasze, błędne ogniki po manowcach nas wodzić będą i cichym łagodnym łudząc płomieniem na bagnach i błotach życiowych trzymać, jeżeli nie zdobędziemy się na akt woli, na czyn.

Polska powstała czynem Bolesławów i bohaterów, co królom swoim na walk zwycięskich towarzyszyli polach.

Tron jej wznosili w krwi swej purpurze, z poświęceń własnych przędli jej sławę. Znojnymi trudy, żywotem twardym służyli wiernie Ojczyźnie matce.

Kochali czynnie, za jej majestat niosąc swe życie w ofierze, ile razy tego wymagała potrzeba.

Przez długie wieki rosła jej sława, potężną była i z dzielnych synów słynęła w koło, bo Polka — znicza narodowego strażniczka, dziecka się swego zrzekała ofiarnie, gdy je ojczyzna do czynu wzywała.

Bez jęku skargi składała matka kobieta Ojczyźnie matce haracz krwi swojej i swe najdroższe marzenia.

Nad dziecka ukochanego kołyską wojenne pieśni nuciła i miłość Ojczyzny na pierwszem po Bogu stawiała mu miejscu.

Sama usuwała się w cień, a syna do przyszłych obowiązków obywatela i obrońcy Ojczyzny wdrażała konsekwentnie, wytrwale i twardo.

Umiała później bohatersko spoglądać wśród klęsk narodowych w oblicze męczeństwu, aby przeżywać ojczyznę i synów.

Ci, co za Polskę ginęli, w śmierci widzieli spłacony dług swego życia i śmierć im była lekką i słodką.

Lecz matka, niewiasta w żałobną odziana szatę, płacząca nad grobem poległych synów i zawiedzionych nadziei, po zgonie obojga, widząc bezowocność swej ofiary, i nie już na ziemi dla siebie nie posiadając, prócz długich dni smutnych rozmyślań przeszłości, oddawała więcej niż mogła na ołtarzu Ojczyzny. Nadmierne wiekowe cierpienie stargało jej siły duchowe i hart jej męstwa zniszczyło chwilowo.

Nie zdobyła się na nowe ofiary i ideały Polki przyćmiła pragnieniem osobistego szczęścia.

Przez pamięć męczarni minionych pokoleń, synów swoich nie chce ofiarnymi czynić; z trwogą odpycha widmo, które jej dzieci zabrać znowu może.

Nie rozpala zatem gorącej miłości Ojczyzny w duszy swego dziecka, lecz stawia mu tylko w myślach obraz jej, zamglony, któremu się przyglądać można i bawić się nim bezkarnie.

Więc stłuc należy zdradliwe zwierciadło gnuśności ducha, z krainy marzeń wyprowadzić wolę i żywą Ojczyznę przed oczy postawić.

Na bohaterstwo większe od śmierci zdobyć się potrzeba; zabić w sobie własne ja i u stóp Polski położyć.

Na barkach cnót obywatelskich tron jej niech się wznosi, by światu całemu stała się widoczną.

Matka zaś Polka co na bój i walkę, bez łez samolubnych, słała niegdyś w krwawe pole ukochane dziecię, dziś na usługę Ojczyzny niechże je poświęci.

Już nie wojenne pieśni śpiewać jej wypada, lecz nowem hasłem do czynu je budzić. „Kto kocha Polskę i dobra jej pragnie, ten się własnego dobra wyrzec musi". Gdy Polka, co przez wieki wierzyła w potęgę ofiary krwi, uwierzy w skuteczność ofiary zaparcia się siebie i najmilszych pragnień na rzecz zakutej w kajdany Ojczyzny, — potrafi wzbudzić energię w duszy swoich synów, dać ich czynom moc i siłę i odwalić kamień grobowej mogiły Tej, co nie zginęła, lecz tylko omdlała.

Marya Czerszykówna.

Z pożółkłych kartek pamiętnika ojca.

II.

...Dnia 24. grudnia 1863 r., pod wieczór, rozłożyliśmy się w lesie Korzeckim, na drodze z Jędrzejowa do Chęcin.

Zapadał szybki, zimowy zmrok. Skroś gałęzie, ciężkie od sadzi śnieżnej, przebłyskiwały gdzieniegdzie płaty pogodnego nieba. Szła noc mroźna, jasna, roziskrzona gwiazdami. W powietrzu był nieruchomy spokój, a w lesie cisza. Dokoła srebrniało wszystko, jak w bajce, a drzewa otulone w miękkie, białe futra zdawały się obiecywać nam dobry nocleg pod rozłożystymi namiotami swoich gałęzi.

Po wyznaczeniu miejsca na legowisko, kiedy hasła były już rozdane, a czaty rozstawione, pozwolono nam rozłożyć ogień.

Trzask łamanego chróstu zamącił na chwilę obejmującą nas ciszę. Nie upłynęło jednek dwudziestu minut, gdy wesołe płomienie zaczęły już lizać suche gałązki jodeł i świerków, a czerwony blask zagrał na śniegu. Rozłożyliśmy się na dobre, grzejąc przy ogniu skostniałe ręce i zabierając się ociężale do warzenia strawy.

Janek Bogucki, dusza mojego plutonu, wysoki, tęgi, barczysty wyrostek szlachecki, dobiegający zaledwie dwudziestego roku życia wśród trudów partyzantki, rozpiął swój krótki kożuszek i wydobył z pod niego manierkę.

— Pij pierwszy — rzekł do mnie.

Pociągnąłem dobrym haustem i puściłem manierkę w obieg. Wódka podniosła odrazu temperaturę naszych humorów i usposobień. Rozwiązały się języki i szmer przyciszonych rozmów wypełnił obozowisko.

Kiedy wieczerza była już gotowa, a miedziane kociołki, zdjęte z ognisk, buchnęły ku nam parą, uczyniło się jeszcze weselej i gwarniej.

Nagle Jędruś Bohomolec przypomniał, że to dziś wigilia i dodał śpiewnym swoim witebskim akcentem:

— Wiedziałem i zachwyciłem po drodze, we dworze w Tokarni, trochę opłatków. — To mówiąc, podał mi owiniętą w chustkę paczkę. Rozwiązałem i pokruszony, biały jak śnieg opłatek, podałem na dłoni Jankowi.

Zaczęliśmy go łamać pomiędzy sobą. Bez życzeń, bez zwyczajnego nawet „dosiego roku". Milczenie jednak było w tej chwili wymowniejsze od najwymowniejszych słów. Czuliśmy się braćmi, czuliśmy, że stanowimy tu, w lesie, jedną rodzinę, złączoną najsilniejszym węzłem, który jedna tylko śmierć, gdy przyjdzie chwila, roztarga. Nadto wzbierały nam w duszach rzewne uczucia. Rok temu, wszyscy jeszcze spędzaliśmy dzień wigilijny inaczej, w domu, wśród swoich. Dzisiaj, zebrani z rozmaitych stron kraju, rzucaliśmy z losem kości o niepewne jutro. Co nam ono przyniesie? To jedno pytanie, uparte, natrętne, świdrowało mózg i duszę każdego. Wiedzieliśmy o tem, nie potrzeba więc było mówić.

Rychło jednak przeszła chwila wzruszenia. Byliśmy już żołnierzami. Kilka miesięcy życia obozowego, niewywczasów i niebezpieczeństw, zrobiły swoje. Umieliśmy trzymać tkliwość na wodzy i zakładać mundsztuk porywom serca tam, gdzie lada chwila mógł paść rozkaz „za broń". Zresztą, bliżkie obcowanie z przyrodą, las, najlepszy nasz towarzysz, chłód i głód wyostrzyły w nas przedewszystkiem instynkty pierwotne.

Spokojnie też, bez sentymentu, zabraliśmy się do wieczerzy. Potem na rozłożonych burkach wyciągaliśmy się przy ogniu jeden za drugim i zwolna cały nasz biwak zapadł w półsen, w pół odrętwienie.

Leżałem na wznak, z oczami, obróconemi na niebo. Spać nie mogłem, ale zmęczenie kazało mi szukać najwygodniejszej pozycyi. Rozprostowałem nogi i ręce, a miłe ciepło, przedostając się skroś kożuch do kości, sprawiało mi niewysłowną rozkosz, o której pojęcie może mieć tylko ten, kto kiedykolwiek w podobnych wypoczywał warunkach, po dniu, spędzonym na mrozie i wietrze. Ile to trwało czasu, nie wiem. Pamiętam tylko, że gwiazdy świeciły nademną, że było cicho i jasno, i że z drzew sypał się powoli, lekko biały puch śnieżny.

Nagle ujrzałem Jędrusia Bohomolca, którego szczupła postać pochyliła się nad śpiącym Jankiem Boguckim.

I znów minęło kilka minut. I znów zapadłem w poprzednie, błogie odrętwienie.

Przerwało mi je lekkie dotknięcie do ramienia. Spojrzałem. Obok mnie stał Janek.

— Niezadługo północ — mówił szeptem — Idziemy do Chęcin na pasterkę. Bohomolec ma pozwolenie. Przed świtem będziemy z powrotem, a może uda nam się języka zasięgnąć. Chłopi korzeccy przynieśli nam tu swoje sukmany, w przebraniu więc będziemy bezpieczni. Czy pójdziesz z nami?

Nie miałem najmniejszej ochoty. Tu było ciepło i dobrze, tam, w otwartem polu, wiatr smagał i mróz ściskał. Odmówiłem. Oni tymczasem żwawo wdziewali przy ogniu krakowskie sukmany. Janek wyglądał, jak urodzony chłopak wiejski. Był w swojej skórze. Chudy Bohomolec jednak odrazu robił wrażenie przebranego.

Ale nie zważał na to. Był pewny, że w okolicy jesteśmy sami. Nadto droga do Chęcin szła lasem. Do kościoła można było zajść wprost z góry Zamkowej, nie zawadzając o miasteczko. Wreszcie chłopi korzeccy mieli prowadzić.

— Noc tak spokojna — mówił do mnie Janek na pożegnanie — że z pewnością usłyszycie tu dzwony. A my z Bohomolcem odśpiewamy tymczasem kolendy, może i parę kołaczów wigilijnych przyniesiemy od proboszcza.

Poszli.

W obozie znów zapanowała cisza. Przed samą północą zmieniły się warty.

Słyszałem półświadomie wymianę haseł. Próżno jednak, leżąc, wsłuchiwałem się w spokój mroźnej nocy. Dzwonów nie było słychać. Wytężonem uchem łowiłem każdy szmer, spragniony srebrnego dźwięku. Nie słyszałem nic. Martwe milczenie objęło ziemię i niebo. Zasnąłem.

Zbudził mnie dopiero nad ranem ruch w obozie Zerwałem się na równe nogi i pierwsze pytanie, jakie rzuciłem sąsiadowi, było o Janka i Jędrusia.

— Czy wrócili?

— Ba, jak przystało na dobrą szlachtę! Konno i w całkowitem uzbrojeniu kozackiem z dwoma sztucerami i 300 nabojami, po 150 w każdej ładownicy. Zdają w tej chwili raport.

Pobiegłem szybko w stronę wielkiego dębu, pod którym obozował sztab naszego oddziału. Janek opowiadał właśnie dzieje nocnej wycieczki:

— Wracaliśmy już po pasterce — mówił — obładowani kołaczami, które księża gospodyni wyniosła nam z błogosławieństwem proboszcza na górę za kościół. Idziemy tedy z Bohomolcem sami, we dwóch, bo ludzie korzeccy zostali jeszcze w mieście, chcąc za jednym zachodem pierwszej mszy rannej wysłuchać. Idziemy lasem, tuż nad szosą. Wtem słyszymy równy odgłos kopyt końskich i przyciszoną rozmowę. Przycupnęliśmy za krzakiem jałowcu. Bohomolec, jako że chudy jest, jak wąż wyciągnął się płazem na ziemi i głowę wystawił na szosę. Po chwili mówi szeptem: „Kozacy". „A ilu"? pytam". „Dwóch". „Dobrze — myślę, po jednym na każdego". „A co robią?" „Zatrzymali się przed figurą .. na coś się zmawiają .. jeden wyciągnął szablę"...

Bohomolec nie skończył jeszcze, gdy powietrze przeciął ostry świst i w ślad za nim usłyszeliśmy zgrzyt stali, uderzającej o blachę krzyża

„Psiekrwie" — syknął Litwin przez zaciśnięte zęby.

I w tej chwili, bez umawiania się, bez komendy, prostym odruchem skoczyli na dół, jak dwa rozżarte tygrysy, i do gardeł. Kozacy osłupieli, nie mieli czasu krzyknąć. Ja z jednym, a Bohomolec z drugim w kilkanaście sekund byliśmy gotowi Obaj zostali tam, na śniegu, pod figurą, a tu jest ich broń. Dwie „szaszki", dwa sztucery i dwie ładownice, po 150 nabojów w każdej...

— Co więcej?

— To wszystko. Tylko, że jeszcze ksiądz proboszcz obiecał pobłogosławić oddział

Rano wyjedzie na szosę ku nam. Kazał czekać tam, gdzie serpentyna tworzy podkowę. W lesie można się ukryć

W tej chwili padł rozkaz zwinięcia obozu. Za pół godziny byliśmy gotowi do marszu. Stu dwudziestu ludzi poszło w takt serc własnych, pod rytm krwi, która w nich tętniła nadzieją. Prowadzili oddział Janek i Bohomolec. W niespełna godzinę zatrzymaliśmy się na wskazanem miejscu.

Dzień już wstał zupełny. Niebo było jasne, bez chmur, słońce wzbijało zwolna w górę swoją lekko przymgloną tarczę złotą. Po upływie kilkunastu minut odezwały się zdaleka dzwonki sanek

— Ksiądz jedzie — poszło po oddziale i bez rozkazu obnażyły się wszystkie głowy.

Brzmienie janczarek umilkło. Sanki zatrzymały się w oddaleniu kilkudziesięciu kroków od miejsca, w którem staliśmy Była skupiona chwila oczekiwania. Poczem na wzgórku, tuż nad szosą, w obramieniu młodych świerków i choin, ukazała się w białej komży postać proboszcza Chęcińskiego. Na tej przyrodzonej ambonie stał, zwrócony ku nam twarzą, a w podniesionych rękach jego błyszczał złoty krzyż gwiaździstej monstrancyi. Ugięły się kolana, pochyliły się głowy...

„W Imię Ojca i Syna i Ducha" — brzmiały w powietrzu mroźnem słowa kaznodziei.

„Oto dziś Bóg nam się narodził i święto jego obchodzimy"...

A po plutonach szło stłumione łkanie, pod kożuchami łomotały serca, a dusze wznosiły się ku niebu na skrzydłach prostej modlitwy...

Z. Dębicki.

Kościół i Grunwald.

Przed kilkunastu laty, jako młody wychowaniec seminaryum duchownego w Królestwie, byłem pierwszy raz w życiu uczestnikiem nabożeństwa, z którego wrażenia na lata całe pozostały w pamięci.

Był to dzień 15. lipca, dzień powszedni. Przed wielkim ołtarzem w katedralnym kościele odprawiał jeden z kanoników Mszę św., a grupka księży i alumnów zajęła miejsca w chórze.

Tony wielkiego organu, zdwojone w sile przez pustkę katedry, drganiem napełniały mury, ołtarze, sprzęty wnętrzne.

W nawie kościelnej widać było kilka staruszek, przygodnie znajdujących się na nabożeństwie. Uroczysty pochód, złożony z kilku księży i kleryków, smutnie malał, nikł na tle ogromu pustki. Skromnie brzmiał hymn chwały: „Ciebie Boga chwalimy!"

To było nabożeństwo dziękczynne za dni chwały narodu polskiego

I zdawaćby się mogło, że ci księża są stróżami jakiegoś cmentarzyska wspomnień po umarłym już narodzie.

W uroczystości nie brali udziału żywi, czynni synowie narodu.

I tylko garstka duchowieństwa wskrzeszała z grobu zapomnienia minioną chwałę, podnosiła z pod pyłu obojętności relikwiarz narodowego tryumfu.

Tak było odprawiane nabożeństwo dziękczynne za rozgromienie w 1410 r. pod Grunwaldem zastępów krzyżackich.

Bezcelowe byłoby dociekanie, dlaczego tak skromnie odbywały się te nabożeństwa przez szeregi lat. Może duchowieństwo zamało przypominało o niem wiernym, może umęczonym umysłom wiernych nie chciało się rzeźwić dawno minioną radością Dość, że Kościół już przez długie wieki sam stał na straży narodowej pamiątki i dziś trzeba pomyśleć, aby 15. lipca cały lud z klerem połączył we wspólnych modłach.

Od niepamiętnych bowiem czasów po wszystkich ziemiach polskich odprawiano uroczyste nabożeństwa w rocznicę bitwy pod Grunwaldem, a duchowieństwo zobowiązywał do tego rytuał Piotrkowski.

Rytuał ten, noszący w sobie powagę dwu synodów piotrkowskich, potwierdzonych przez Grzegorza XV. w 1623 r. i Urbana VIII. w 1629 r., wskazuje że starodawna procesya d. 15. lipca powinna być w kościołach urządzana *propter memorabilem victoriam per Polonos ex Pruthenis et Cruciferis eo die reportatam* (z racyi pamiętnego zwycięstwa przez Polaków w tym dniu nad Prusakami i Krzyżakami odniesionego). Powiada rytuał, że po Mszy uroczystej powinna odbyć się procesya na modłę tej, która jest urządzana w dniu św Marka: a więc z odśpiewaniem litanii, wezwań do świętych i modlitw właściwych z dodaniem następujących:

„Boże, któryś w dniu dzisiejszym przez rozesłanie w świat Twych apostołów, swą opatrznością sprawił, że z oddzielnych ludów Kościół Twój do łaski jedności wiary powołany został, daj nam osiągnąć darowanie win naszych dla zasług i za przyczyną tych, przez których naukę doszliśmy do poznania imienia Twego.

„Wszechmogący wieczny Boże, najłaskawszy pocieszycielu strapionych, ucieczko bezpieczna ufających Tobie któryś przedziwnym tryumfem, z niebios zesłanym, dzień dzisiejszy chwalebnym uczynił dla ludu w Twej opiece ufność pokładającego, dla zasług i próśb Twych apostołów, których uroczystość czcimy, ukaż — błagamy — pełnię Twej opieki, aby ten naród był zasłoniony od napadów nieprzyjaciół i trwał bezpiecznie w Twej służbie.

„Boże, ktory nigdy nie zezwalasz, ażeby przerażenie gnębiło wierzące w Ciebie narody, łaskawie przyjmij prośby i błagania oddanego Tobie ludu, niech pokój z Twej dobroci udzielony, od wszelkich wrogów strzeże ziemię chrześcijańską. Przez Chrystusa Pana naszego. Amen".

Nadto trybunał Piotrkowski, przewidując, że procesye i nadal będą się odbywały z kościoła do kościoła, na końcu dodaje: *postremo, in reditu ad propriam ecclesiam, concluditur Hymno Te Deum Laudamus* (Nakoniec, w powrocie do swojego kościoła, kończy się nabożeństwo hymnem: „Ciebie Boga chwalimy")

Wskutek niesprzyjających okoliczności — może dlatego, że na wiejskich parafiach ksiądz i organista jedynie byliby uczestnikami uroczystości — *Ordo divini officii*, t. j. porządek nabożeństwa każdej dyecezyi, z dawiendawna przewiduje msze i procesye tylko w kościołach katedralnym i kollegiackich i stosowne przypomnienie na dniu 15. lipca umieszcza Mniemam jednak, że w roku bieżącym nie zachodzi obawa o pustki w kościołach w dniu 15 lipca. Stąd wszystkie kościoły mogłyby odnowić stary zwyczaj obchodu, tembardziej, że przez rytuał wszystkim jest zalecony. Przypuszczam, że wszyscy, kogo wspomnienia historyczne mogą interesować, rozumieją, iż wielka pamiątka Grunwaldu nie jest manifestacyą, wymierzoną przeciw pysze Prusaków — że jest aktem wiary wielkiego narodu w swe siły i przyszłość, czego mu żadne dzisiejsze, chociażby najbardziej smutne, położenie nie odejmie Takiej świadomości i nastrojowi odpowiada doskonale uroczystość kościelna i te modlitwy, które kościół w tym celu ułożył.

Kiedy mówię o uroczystościach Grunwaldzkich, niepodobna, ażebym nie wspomniał o drugiej uroczystości kościelnej, o której również dotąd ogół zapomina

I oto takie w dniu 10. października po wszystkich ziemiach Rzeczypospolitej odprawia się nabożeństwo dziękczynne za zwycięstwo, odniesione przez naszych dziadów w 1621 r. pod Chocimem.

Oddzielnem brevem papież Grzegorz XV. polecił dzień ten obchodzić uroczyście, a papież Urban VII. osobną mszę i pacierze kapłańskie na upamiętnienie tego zwycięstwa wprowadził Od odprawienia Mszy św. nie może się usunąć żaden kościół, procesya conajmniej w katedrach i kollegiach odbyć się musi. Nabożeństwo kończy się modlitwą:

„Panie Boże Zastępów, który za wstawiennictwem Najświętszej Maryi Panny i świętych królestwa naszego Patronów, odrzuciłeś, zdejmując je wstydem, nieolbrzymię zastępy Turków, zgromadzonych w celu rozgromienia Polski, dzięki Ci składamy, błagając Twój majestat, abyś tych, od których odwróciłeś rózgę gniewu Twego, do siebie prawdziwie nawrócić raczył".

Oto, co mi nasunęły na myśl debaty co do pięciowiekowego obchodu Grunwaldu Wyrażam opinię, że zapomniane uroczystości powinny odżyć w pamięci wiernych i w przyszłości nietylko odprawujących, ale i uczestniczących mieć powinny.

Ks. Seweryn Popławski.

Wychodźtwo polskie.

Jednym z najdonioślejszych objawów społeczno-ekonomicznych naszego życia narodowego jest masowe wychodźtwo zarobkowe. Rocznie opuszcza kraj rodzinny na czas dłuższy lub krótszy, lub też na stałe przynajmniej trzy ćwierci miliona Polaków w olbrzymiej większości w wieku zdolnym do pracy. Prąd emigracyjny, który dawniej czerpał swą siłę z Francyi i z Anglii, z Irlandyi, Niemiec i krajów skandynawskich, od paru dziesiątków lat wtargnął na ziemie polskie i odtąd fala wychodźców staje się u nas coraz potężniejsza. Czy osiągnęła już swe największe natężenie — wątpić należy. Czy jest ona w formie gwałtownej, olbrzymiej, zjawiskiem przejściowem, jak było u narodów zachodnio-europejskich, zjawiskiem towarzyszącem okresom przełomowym w rozwoju społecznym i ekonomicznym? Byłoby rzeczą zbyt śmiałą przepowiadanie, na podstawie analogii z historyą wychodźtwa europejskiego, stopniowego opadania tej fali. Anormalne warunki polityczne i ściśle związane z nimi warunki ekonomiczne nie pozwalają się spodziewać szybkiego, dorównywującego wzrostowi ludności wzrostowi potrzeb i aspiracyi kulturalnych mas ludowych rozwoju przemysłu, kapitalizacyi społecznej, dobrobytu wogóle Zabór pruski, pomimo niezaprzeczonego wzrostu zamożności społeczeństwa, wskutek swego położenia geograficznego i ekonomicznej polityki eksterminacyjnej rządu pruskiego, zmuszony jest do wysyłania — jak obecnie — dziesiątej części swych mieszkańców — na zachód do Niemiec; emigracya zarobkowa w głąb Rzeszy zastąpiła emigracyę zarobkową do Ameryki Północnej i Brazylii, zmniejszyła rozmiary obieżysastwa (zabór pruski pierwszy został wciągnięty w wir emigracyi we wszystkich jej postaciach). Pozbawiona wielkiego przemysłu Galicya, jak również Królestwo Polskie, w którem okres najświetniejszego rozwoju przemysłu należy do przeszłości, muszą wysyłać setki tysięcy rąk poszukujących pracy do Europy Zachodniej, przedewszystkiem do Niemiec, i do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, a niema bodaj kraju, w którym warunki ekonomiczne i klimatyczne pozwalają na emigracyę polską, dokąd nie skierowałby się robotnik lub osadnik polski.

Chociaż ruch wychodźczy w ostatnich czasach objął i dalej na Wschód osiadłe narody: Węgrów, Słowaków, Chorwatów, Bułgarów i Serbów pod względem siły natężenia emigracya polska (i litewska) ma jednego godnego rywala — wychodźtwo włoskie. Analogia jest dość duża, gdyż wychodźtwo polskie i włoskie jest w znacznym stopniu czasowem (kontynentalnem, lub amerykańskiem). Różnica polega przedewszystkiem na tem, że potężnym ruchem emigracyjnym we Włoszech opiekuje się prawodawstwo i administracya

państwowa, tudzież wzorowe instytucye humanitarne, emigracya polska zaś jest wciąż przedmiotem najhaniebniejszego wyzysku wszelkiego rodzaju i znikąd nie może spodziewać się pomocy i opieki. Dopiero w ostatnich czasach opinia publiczna okazuje żywsze zainteresowanie się sprawą wychodźtwa, czynione są usiłowania częściowego zmniejszenia niedoli bezbronnych emigrantów, gdy dawniej tylko tak jaskrawe fakty, jak piekło brazylijskie w okresie gorączki emigracyjnej, na chwilę zdołały poruszyć umysły.

Całokształt zagadnień emigracyi galicyjskiej starał sie ująć po raz pierwszy znany ekonomista krakowski dr. Leopold Caro, wybitny znawca tej kwestyi, którą gorliwie wyjaśnia od dłuższego czasu słowem i piórem. Praca jego ukazała się w języku niemieckim, w wydawnictwach najpoważniejszego związku ekonomistów niemieckich — *Verein fur Sozialpolitik (Dr Leopold Caro.* Auswanderung und Auswanderungspolitik in Oesterreich". Lipsk, Duncker u. Humblot, 1909, str. 284). Wydanie jej po niemiecku ma tę dobrą stronę, że zaznajamia z całym szeregiem kwestyi zarówno kraje emigracyi galicyjskiej, jak miarodajne czynniki w Austryi, tak obojętne na los wychodźców z własnego państwa. Z tego powodu mówi o emigracyi z Austryi (Cislitawia) wogóle, ale właściwie przedmiotem jej jest prawie wyłącznie wychodźtwo z Galicyi. Autor przytem nie pominął w miarę możności i danych, dotyczących emigracyi z Królestwa, tak, że cenna praca jego z małemi zmianami i uzupełnieniami dałaby dosyć kompletny obraz naszego wychodźtwa we wszystkich jego rozgałęzieniach. Niestety — rzecz znamienna dla naszych wydawnictw społeczn.-ekonomicznych — nie znalazł się nakładca polski. Literatura niemiecka wzbogaciła się o jedną pracę więcej o emigracyi polskiej — literatura polska nie może się poszczycić żadną analogicznej wartości pracą.

Na początku książki dra Caro znajdujemy wyczerpujące dane statystyczne co do wychodźtwa, przedewszystkiem do Stanów Zjednoczonych. Najsilniejsze było wychodźtwo w roku 1906/7 (rok następny był rokiem kryzysu ekonomicznego w Ameryce) — liczba emigrantów doszła do 136.729 Polaków (59.709 z Austryi, 73.122 z Państwa rosyjskiego, 3,888 z zaboru pruskiego). Przewyższała ją tylko emigracya włoska (przeszło 285 tysięcy), dorównywała emigracya żydowska: w tym samym roku wyemigrowało do Stanów Zjednoczonych z Rosyi (przeważnie z ziem litewsko-ruskich) 114.932 żydów, z Austryi i Węgier — 18.835, z Rumunii — 3 605, z Anglii — 7 032 (są to również żydzi rosyjscy i polscy, emigrujący drogą okólną przez Londyn). Naszych też stosunków dotyczy bardzo liczna emigracya Litwinów (przeszło 25 tysięcy w roku 1906, 1907) i wzmagająca się Rusinów z Austryi (24 tysiące). Emigracya polska, jak widać z danych statystycznych, obejmuje przeważnie mężczyzn, co jest dowodem czasowego wychodźtwa znacznej części emigrantów; podczas gdy zachodnio-europejska i żydowska, jako osadnicza, wykazuje daleko większy procent kobiet. Wykazuje poza tem olbrzymi procent zarówno robotników niewykwalifikowanych, jak analfabetów. Podaje dalej dr. Caro szczegółowe dane o emigracyi do innych krajów zaoceanowych (Kanady, Argentyny, Brazylii, Urugwaju, Australii, Nowej Zelandyi), tudzież statystykę emigracyi z poszczególnych portów niemieckich, austryackich, włoskich, francuskich, belgijskich, wykrywając n. p. znaczną przewagę kobiet wśród wychodźców w Rotterdamie, co przypisuje zorganizowanemu w tym porcie handlowi żywym towarem. Interesujące są zwłaszcza dane co do emigracyi przez Tryest, dokąd chciał skierować wychodźtwo austryacki rząd wiedeński (analogiczne projekty ma rząd rosyjski co do Libawy). Wysiłki nie wydały dotychczas oczekiwanych rezultatów, co można tłumaczyć dogodniejszem i bliższem położeniem portów niemieckich, agitacyą agentów towarzystw przewozowych niemieckich, lepszemi urządzeniami na statkach, jak również istniejącą tajną umową — trustem towarzystw okrętowych, dzielących pomiędzy siebie pasażerów według ustanowionego klucza. Olbrzymie towarzystwa okrętowe Bremy i Hamburga — podstawy handlu zamorskiego Niemiec, podstawy ich potęgi morskiej — ciągną główne zyski z przewozu wychodźców z Austro-Węgier i Rosyi (90 procent ogółu wychodźców), przeważnie Słowian (wśród tych największy Polaków). Zmniejszenie się emigracyi w roku ubiegłym z powodu kryzysu ekonomicznego w Ameryce wywołało milionowe straty tych towarzystw.

Jak do rozwoju floty niemieckiej przyczyniają się „amerykańscy" Polacy, tak do rozwoju przemysłu, a zwłaszcza rolnictwa, przyczynia się znakomicie praca polskich obieżysasów, których liczbę ze wszystkich zaborów obliczyć można na zgórą 600 tysięcy. W ostatnich czasach polskie wychodźtwo sezonowe dotarło do Danii, Szwecyi, Szwajcaryi, Francyi.

Dr. Caro stara się wreszcie podać pewne przybliżone dane o ilości powracających emigrantów z Ameryki i o przesyłanych przez nich do kraju sumach pieniężnych.

Bardzo pouczający jest opis położenia emigrantów od chwili werbowania przez agentów aż do przybycia na miejsce pracy. Autor nie powtarza, oczywiście, popularnych u nas niegdyś frazesów, o żyłce włóczęgoskiej i lenistwie, jako przyczynie wychodźtwa, lecz widzi ją w położeniu ekonomicznem ludności galicyjskiej. Nie można jednak bez zastrzeżeń zgodzić się na zdanie, że wśród przyczyn wychodźtwa na pierwszem miejscu postawić trzeba brak oświaty. Dane statystyczne co do Galicyi bynajmniej nie potwierdzają współrzędności braku oświaty z siłą emigracyi; powiaty liczące najwięcej analfabetów, nie dostarczają największej liczby wychodźców. Rzecz oczywista, że wyższy poziom oświaty idzie zwykle w parze z dobrobytem i w tym wypadku nie oświata, lecz raczej dobrobyt powstrzymuje ludność od wychodźtwa.

Kilka sławnych procesów, wytoczonych agentom emigracyjnym, rzuciło jaskrawe światło na istotę tego handlu „niewolnikami", który dotychczas jest uprawiany w Galicyi. Najwyszukańsze formy wyzysku, czasami przy współudziale osób urzędowych, niedozwolone opłaty, pobierane od wychodźców, skierowywanie ich do innych krajów, niż mieli zamiar się udać (nawet do krajów podzwrotnikowych), fałszywe reklamy, często pod postacią listów do rodziny, słowem cały skandaliczny aparat oszustw, którym posługują się rozsiani po wszystkich niemal gminach agenci towarzystw okrętowych lub państw południowo-amerykańskich, płacących za dostarczanie kolonistów, został przez dra Caro ujawniony z całą sumiennością, ze wszystkimi szczegółami. Nie brak tam również przedstawienia i słusznej ich krytyki urządzeń, które istnieją na pogranicznych stacyach Niemiec, w portach i na statkach.

W następnym rozdziale przedstawiona jest z wielką dokładnością rzeczy polityka emigracyjna państw amerykańskich — Stanów Zjednoczonych, Kanady, Brazylii i Argentyny. Znajdujemy tam informacye o przepisach, obowiązujących osoby, które mogą być dopuszczone na ląd amerykański, jak i o przepisach, obowiązujących towarzystwa okrętowe, zajmujące się przewożeniem wychodźców.

Przekonywującymi argumentami walczy autor z poglądami części opinii Stanów Zjednoczonych, domagającej się obostrzenia przepisów dla emigrantów, w tej liczbie Słowian. Przeciwstawia im opinie wybitnych przedstawicieli społeczeństwa amerykańskiego o wartości robotników słowiańskich; podaje dane statystyczne o przestępczości rozmaitych „ras", o ilości ubogich pomiędzy różnemi narodowościami w Stanach Zjednoczonych, wykazuje, że o konkurencyi z robotnikami miejscowymi właściwie nie powinno być mowy, gdyż emigranci podejmują się takich prac, których tamci podjąć się nie chcą, oskarża państwo o brak dbałości o zdrowie i życie robotników.

Następnie przedstawia dr. Caro politykę kolonizacyjną Kanady, Brazylii i Argentyny, położenie dotychczasowe osadników, tudzież ocenia warunki osiedlania się emigrantów w różnych stanach tych państw.

Z kolei podany jest dokładny obraz położenia wychodźców sezonowych w Niemczech. Specyalną uwagę zwraca autor na oszukańczą działalność agentów, która jest bodaj główną przyczyną epidemii łamania kontraktów, na praktykowane przez nich formy wyzysku. Autor podkreśla przepisy wyjątkowe, dotyczące wyłącznie robotników Polaków z Królestwa i Galicyi: zakaz pozostawania w Prusiech w miesiącach zimowych, dopuszczanie wychodźców w zachodnich prowincyach Prus tylko do pracy rolniczej, pozbawienie ich dobrodziejstw ubezpieczenia od nieszczęśliwych wypadków i na wypadek niezdolności do pracy. Najgroźniejsze jest jednak zcentralizowanie pośrednictwa pracy w urzędowej berlińskiej „Feldarbeiterzentrale", tudzież wymaganie poświadczonych przez władze kart legitymacyjnych (innych dla Polaków, innych dla Rusinów, innych, wreszcie, dla pozostałych emigrantów), w których wskazany musi być pracodawca. Bez zgody policyi, stwierdzającej, czy kontrakt został rozwiązany za zobopólną zgodą pracodawcy i robotnika, wychodźca nie może znaleźć nowego zarobku i zostaje wydalony z granic państwa. Wychodźcy stają się niemal niewolnikami pracodawcy, popieranego przez administracyę miejscową i policyę, a „Feldarbeiterzentrale" — instytucyą narzucającą robotnikom wszelkie warunki pracy i mogącą prowadzić odpowiednią politykę narodowościową. Nie czyniono dotychczas w Galicyi (nie mówiąc już o Królestwie) poważniejszych, skutecznych zarządzeń, które przeciwstawić byłoby można zjednoczonym pod patronatem rządu pracodawcom niemieckim. Pewną tamę wyzyskowi kładzie rozwijający się ruch wychodźczy na roboty rolne do Danii, dbającej o dobre traktowanie naszych „obieżysasów", do Szwecyi, Szwajcaryi, Francyi, chociaż „pojemność" tych rynków pracy jest zbyt mała, by mogła zastąpić tradycyjne już wychodźtwo do Niemiec. O warunkach pracy w tych krajach autor podaje dosyć szczupłe informacye.

Dowodem wielkiego lekceważenia interesów ludności przez rząd austryacki — chodzi głównie o traktowaną, jak kopciuszek, Galicyę — jest brak nowoczesnego prawodawstwa o emigracyi, na które zdobyły się Węgry, nie mówiąc już o wzorowych ustawach szwajcarskiej i włoskiej. Poza przepisami, krępującymi działalność agentów emigracyjnych — na papierze, zadowolono się na skutek licznych interpelacyi w parlamencie, zwołaniem ankiety emigracyjnej w roku 1905, na której uwydatniły się silne wpływy zainteresowanych towarzystw okrętowych.

Specyalnie praktyczne wobec tego znaczenie posiada bardzo dobrze opracowany, szczegółowy program austryackiej polityki emigracyjnej. Ograniczenia emigracyjne stosować należy do osób małoletnich, do pozostawiających dzieci nieletnie bez zabezpieczenia materyalnego, do tych, którym wstęp do krajów imigracyi jest wzbroniony. Również powinien istnieć zakaz wychodźtwa do krajów, które subwencyonują agentów i towarzystwa przewozowe i do krajów, w których pobyt grozi specyalnem niebezpieczeństwem dla zdrowia, wolności, moralności lub dobrobytu emigrantów. Szczególniej ważne są przepisy, kładące tamę reklamie emigracyjnej i działalności agentów, którzy powinni być ściśle kontrolowani, odpowiadać za przewinienia sądownie przed sądami krajowymi, lub konsularnymi, których liczba i działalność powinna być ograniczona; ideałem byłoby zupełne usunięcie agentów. Następnie stawia dr. Caro szereg postulatów co do warunków podróży koleją i statkami i pobytu w miejscach portowych co do opieki nad wychodźcami po przybyciu do kraju emigracyi, oraz postulaty specyalne dla obrony interesów obieżysasów. Dla przeprowadzenia tych zadań konieczne jest utworzenie państwowego urzędu emigracyjnego, związanego z centralnem biurem pośrednictwa pracy i biurem informacyjnem. Szczególne są zadania narodowej polityki emigracyjnej, która dążyć powinna do koncentracyi wychodźtwa w zwartych masach na pewnych terytoryach. Zadania te w części spełniać mogą stowarzyszenia religijne, dobroczynne i oświatowe, w części państwo, skierowując o ile możności, wychodźtwo przez swój port (Tryest) i organizując opiekę konsularną nad emigrantami.

W końcu znajdujemy przedstawienie zagadnienia międzynarodowego unormowania spraw emigracyjnych w drodze ustawodawczej. Dr. Caro proponuje utworzenie w tym celu Instytutu międzynarodowego, opracowującego odpowiednie umowy międzynarodowe, ujednostajniającego prawa o emigracyi poszczególnych państw, oraz badającego wszystkie dane, dotyczące emigracyi i krajów, do których skierowuje się wychodźtwo.

Taka jest w pobieżnym przeglądzie treść — niezmiernie bogata — cennej pracy ekonomisty krakowskiego. *B. Wasiutyński.*

Dobry sługa Ojczyzny.

W jasny dzień marcowy 1906 roku ulicami Warszawy jechał dwukonny karawan z trumną bez kwiatów i wieńców; ani jedna kareta, ani nawet dorożka nie postępowała za nim, cały zaś orszak składał się z sześciu osób jedynie. Nikt nie zwró-

cił uwagi na taki skromny pogrzeb, krótka zaś wzmianka w *Kuryerze Warszawskim* o ś. p. Nestorze Bucewiczu przeszła niepostrzeżenie — nazwisko to nikomu nie było znane. Warszawa, tak pochopna do składania hołdów pośmiertnych byle miernocie, nie wiedziała nic o człowieku wielkich zasług i wielkiego ducha, o filantropie, sypiącym krocie na szkoły polskie na Śląsku, o patryocie, który miał jedną tylko miłość — miłość ojczyzny i przez całe życie wiernie jej służył.

Nadzwyczaj skromny, unikał wszelkiego rozgłosu i staranniej taił swoje dobre uczynki, niż inny brzydkie ukrywa zdrożności. Przez wiele lat byłam codziennym niemal jego gościem, często pełniłam przy nim obowiązki sekretarza, miałam więc sposobność śledzić jego życie, zbadać do głębi tę kryształową duszę, to płomienne serce i poczytuję sobie za świętą powinność zapoznać szersze koła rodaków z tym dobrym sługą ojczyzny. Może to hołd spóźniony, należy się jednak, żeby imię jego wypłynęło z zapomnienia, stało się wzorem i przykładem dla młodego pokolenia i wymawiane było odtąd z należną czcią i uznaniem.

Nestor Bucewicz urodził się w Judranach na Żmudzi w r. 1834, wcześnie jednak opuścił rodzinne strony, kształcił się bowiem w Moskwie i Petersburgu. Twarda ówczesna Mikołajewska szkoła, w której myśleć nawet po polsku nie było wolno, wydała jednak wręcz przeciwne swojemu założeniu owoce, bo wyrósł w niej patryota z tem gorętszą miłością ojczyzny, gdyż musiała być tłumiona na dnie serca.

Szczęśliwym trafem został mianowany lekarzem więziennym w Charkowie, gdzie poznał się bliżej z Dr. Frankowskim, godnym a niepospolitym przedstawicielem szkół wileńskich, wskrzeszonych przez ks. Czartoryskiego. Wywarł on ogromny wpływ na Bucewicza, który zawsze wspominał go z najwyższą czcią i z głębokiem wzruszeniem opowiadał o szlachetnej jego działalności społecznej, ogromnej wiedzy, charakterze tak nieposzlakowanym, że w Charkowie wszystkie warstwy ludności łączyły się w kornym dlań hołdzie uznania. Wtenczas już pod kierunkiem Dr. Frankowskiego Bucewicz zaczął stawiść pierwsze kroki na drodze, której wierny pozostał do końca życia.

Nadszedł straszny rok 1863, więzienia w Charkowie napełniły się Polakami, dla których młody lekarz był istnym aniołem pocieszycielem: z natury łagodny jak gołąb, stawał się chytrzejszy od węża, przebieglejszy od lisa, żeby tym nieszczęśliwym przynieść ulgę i pomoc. Był między nimi ksiądz unicki, skazany na śmierć. Bucewicz ułożył plan ucieczki i przeprowadził zbiega przez granicę. Ile trudów poniósł, na ile niebezpieczeństw się naraził, żeby jedną ofiarę wydrzeć z rąk kata, Bogu jednemu wiadomo. Mierzył on siły na zamiary, nie zamiar wedle sił; ocaliwszy życie rodaka, sam się zdumiał, że mu się to udało. „Młodości, orla twych skrzydeł potęga“!... Szczegóły tej ucieczki, pełnej przygód, opisywane były w dziennikach zagranicznych, naturalnie z pominięciem nazwiska.

Spełniwszy swoje, wrócił do Rosyi i życie jego upływa dalej w ciężkiej pracy, w cięższych jeszcze warunkach. Przyjmuje dobrze płatne miejsce u bogatego obywatela, prócz tego ma ogromną praktykę lekarską, a ponieważ jego osobiste potrzeby były zawsze bardzo skromne, powoli zbiera znaczne mienie. Wówczas ratuje majątek rodzinny, duży szmat ziemi na św. Żmudzi, bliski już przejścia niepowrotnie w cudze ręce, wychowuje jak najstaranniej synowców w tej myśli, by krajowi przysporzyć dobrych obywateli i stęskniony do ojczyzny, osiada wreszcie w Warszawie, jako w największem środowisku polskiem.

Po długich latach usilnej pracy miałby wszelkie prawo do odpoczynku, ale on zmienia tylko rodzaj działalności, umysł jego wciąż jest wytężony w jednym kierunku: czego najwięcej potrzebuje ojczyzna. Więc rąk bezczynnie nie zakłada. Żyje zdala od świata, i tylko z jednym Antonim Osuchowskim łączą go ścisłe stosunki, gdyż obaj są ożywieni jednym duchem ofiarności.

Śląsk, odwieczne Piastów dziedzictwo, w którem po długich latach zbudziło się potężne tętno narodowe, staje się przedmiotem szczególnej jego pieczy, bo wszystko tam stoi odłogiem — przedewszystkiem należy otworzyć polską uczelnię. Bucewicz hojnie przyczynia się do wzniesienia dzisiejszego gimnazyum cieszyńskiego ofiarą 75,000 rubli [1]), obficie zasila powstające wiejskie biblioteki, pomaga ubogiej młodzieży; nikt próżno nie zwróci się do niego, jeżeli ks. Londzin potwierdzi, że na to zasługuje. Ileż takich listów z prośbami przeszło przez moje ręce! Mieszkanie jego było zawsze zawalone pakami książek, które na Śląsk wysyłał.

Skromny, nieznany filantrop daje dużo na każdy cel pożyteczny, boleje tylko, że z konieczności ofiarność jego jest ograniczona, a tutaj potrzeba wiele, bo społeczeństwo nasze jest w takich wyjątkowych warunkach, że samo musi łożyć na siebie. Każdy grosz nie użyty na cele społeczne uważał za stracony i cierpiał, słysząc o olbrzymich zapisach na cele, które nie zasługiwały na to. Właściciel wspaniałego majątku, gdzie samemi lasami jechało się 9 wiorst, żył jak anachoreta, w trzech pokoikach na 3-em piętrze; przyzwyczajony do prostoty, o której dzisiejsze pokolenie nie ma nawet pojęcia, żałował sobie na wszystko i lata całe chodził w wytartem, zrudziałem palcie.

W domowem życiu dziwnie cichy, prosty, łagodny, cały pochłonięty przewodnią myślą, która mu jak gwiazda przyświecała, zawsze gotów przyłożyć rękę do pożytecznego czynu, aż do zbytku wrażliwy na wypadki, które rwącym potokiem tyle złych i dobrych objawów na swej mętnej fali poniosły.

Wracając raz z Karlsbadu, zapragnął zobaczyć cieszyńskie gimnazyum, którego był potrosze ojcem i tam spotkała go wielka przykrość: ks. Londzin, uprzedzony o jego przybyciu, przyjął go bardzo uroczyście, wypowiedział na jego cześć mowę dziękczynną i ująwszy go pod rękę, przeprowadził przez bramę tryumfalną. Bucewicz zawstydzony, pomieszany, pragnął zapaść się pod ziemię.

W ostatnich dniach życia doczekał się prawa, pozwalającego rozporządzać dowolnie majątkiem nieruchomym na Litwie, mógł więc umierać spokojnie, że w dobrym ręku zostawia ukochane gniazdo rodzinne z kościołem, mieszczącym groby przodków, między którymi i on miał wkrótce spocząć. Bóg oszczędził mu długiej i ciężkiej choroby — człowiek, który żył tylko sercem, umarł na serce.

Zofja Wiśniewska.

[1]) Ogół ma przekonanie, że gimnazyum to postawiła... Szkoła ludowa.

Liga narodowa wobec drożyzny mieszkań w miastach polskich.

Działalność „Ligi Narodowej“ nie ogranicza się do szerzenia myśli i zasad towarzystwa w społeczeństwie, ale obejmuje też stosownie do programu tworzenie nowych organizacyi, których w danej chwili najbardziej nam potrzeba. Do tych należy niezawodnie uproszony przez Zarząd P. L. N. „Komitet do spraw drożyzny mieszkań“, złożony z delegatów najwybitniejszych polskich towarzystw lwowskich, pod przewodnictwem p. dra Korytki, skarbnika P. L. N.

Na wieczorze parlamentarnym Ligi poruszono sprawę drożyzny mieszkań w miastach polskich, a referent prof. Hauswald, wykazał jak doniosłe znaczenie rzecz ta dla społeczeństwa polskiego posiada, jak groźne wywołuje następstwa, podkopując byt materyalny dziesiątek tysięcy rodzin polskich, oddziaływując szkodliwie na zdrowie całych pokoleń i na zasady etyczne tysięcy osób, zaciągających skutkiem tego nieuczciwe długi lub nadużywających zaufanie w nich pokładane.

Wyjaśniwszy główne przyczyny drożyzny, trwałe i przejściowe, podniósł też referent ten szczegół, że najgorzej pod tym względem dzieje się w Austryi, z powodu ogromnych długów państwowych, owych pamiątek po przegranych wojnach i nieudałych spekulacyach dyplomatycznych, z powodu niesłychanego przeciążenia podatkami mieszkań, nieudolnej gospodarki publicznej i życia całego państwa nad stan, — poczem zajął się przedstawieniem możliwych środków zaradczych.

Przedewszystkiem domagać się musimy zniżenia podatków od mieszkań, wraz z dodatkami, bezpośredniego ich pobierania od wynajmującego, a nie od właściciela domu, by uniknąć zbyt wielkich „zaokrągleń“.

W związku z tem powinniśmy wszyscy żądać skromniejszej i oszczędniejszej gospodarki publicznej, niż dotychczas.

Państwo powinno na czas przygotowywać własne budynki na pomieszczenie urzędów i szkół, a nie podbijać do niemożliwej wysokości ceny mieszkań przy najmowaniu domów mieszkalnych do celów biurowych. Prócz tego powinno stawiać tanie mieszkania służbowe dla swoich urzędników i robotników, tak jak to czynią z powodzeniem dyrekcye kolejowe.

Większą część wojska należy usuwać z wielkich miast i umieszczać w osobnych koloniach wojskowych na wsi — bo wojskowi przyczyniają się w znacznym stopniu do drożyzny mieszkań, ponieważ mają zbyt wysokie dodatki kwaterowe, a miejsce pobytu często zmieniają.

Również niezdrowem jest zbytnie skupianie szkół w miastach, jak to się dzieje we Lwowie, który ma trzy zakłady akademickie, 10 średnich i niezliczone szkoły innych typów. Część tych szkół powinna być przeniesiona do miasteczek lub na wieś, jak to czynią anglicy i amerykanie.

Błędnem jest też zakładanie fabryk w miastach, gdzie tylko biura kupieckie są potrzebne. W Niemczech opuszczają dziś wszystkie większe zakłady przemysłowe ciasne i drogie przestrzenie miejskie i przenoszą się do osobnych kolonii odległych o 50 do 100 kilometrów od miast, uzyskując przez to większą swobodę pomieszczenia, taniość produkcyi i daleko lepsze warunki bytu dla robotnika.

Wogóle pożądane jest energiczne przeciwdziałanie bezmyślnemu ściąganiu wszystkiego do owych mrowisk olbrzymich, w których człowiek każdy traci wszelkie indywidualne znaczenie, a staje się tylko masowym okazem.

Zarządy miejskie mogłyby też wiele uczynić dla ulżenia drożyzny, gdyby tylko miały trochę woli, energii i zdolności do czynu, zamiast przenikającego u nas wszystko, podobnie jak w Chinach, ducha biurokratycznego.

Nad sprawami mieszkań czuwać mógłby osobny wydział mieszkaniowy, posiadający uczciwych a sprawnych inspektorów; przestarzałe ustawy budowlane powinno się wczas zastąpić nowymi przepisami, które uwzględniałyby wymogi techniczne, zdrowotne i ekonomiczne, dążąc do zmniejszenia kosztów budowy i utrzymania. Rozrzucenie głównych budynków urzędowych, miejsc targowych i t. p. zdała od środka miasta złagodzić może owo niebezpieczne i bezgraniczne podwyższenie wartości ziemi i domów w śródmieściu.

Dobrze obmyślana sieć kolejek miejskich wiązać się powinna z planowem nabywaniem terenów przez miasto i tworzeniem nowych dzielnic, w których działki sprzedaje się z małym zyskiem, zastrzegając miastu prawo odkupna, albo też wydzierżawia dziedzicznie, jak to się dzieje z wielkiem powodzeniem w Dreznie, Frankfurcie i w miastach angielskich.

Miasta te wprowadziły niedawno podatek od przyrostu wartości ziemi i budowli, a dochodów z niego używają wyłącznie do celów poprawy warunków zdrowotnych, mieszkalnych i społecznych, głównie zaś do miejskiego działkowania w szerokim zakresie.

Popieranie towarzystw do budowy tanich domów, uprzystępnienie taniego kredytu budowlanego przez własne banki budowlane i wiele jeszcze innych środków stosować mogą odpowiednio uzdolnione i chętne władze miejskie.

Liga Narodowa wzywa dalej wszystkie Towarzystwa zawodowe, jak techniczne, prawnicze, ekonomiczne i robotnicze, aby we wspólnym interesie całego społeczeństwa i członków swoich zwalczać poczęły wspólnego a groźnego wroga drożyzny i przyczynić się chciały do zaradzenia obecnemu stanowi, który wiele najlepszych sił naszego narodu marnuje i łamie.

Najpotężniejszym środkiem przeciw drożyźnie jest jednak odporność ekonomiczna i samopomoc tak jednostek jak i społeczeństwa. Jestto obowiązkiem każdego z nas stawiać bezwzględny opór wszelkiemu zdzierstwu, a lichwie mieszkaniowej w szczególności, — nigdy nie brać mieszkań, których cena obliczona jest na wyzysk naiwnych; wpływać na otoczenie nasze, aby nie robiło lekkomyślnych wydatków, na które go nie stać, utworzyć wreszcie „Związki lokatorów“, któreby czuwały nad prawami i interesami lokatorów, układały taryfę mieszkań, wymagania zdrowotne i praktyczne, wzory kontraktów najmu, a wszelkimi środkami zwalczały niedostatki mieszkaniowe.

Do niezdrowego podnoszenia się cen miejskich przyczyniają się także nieświadomie ci ludzie, którzy dawniej przebywali na prowincyi, a po otrzymaniu pensyi lub usunięciu się od interesów ściągają się do wielkich miast, gdzie właściwie tylko ci stale przebywać powinni, których zawodowe obowiązki tam wiążą.

Należy więc wstrzymywać ciągle niepotrzebny napływ mas ludzkich do miast, a równocześnie ulepszać urządzenia techniczne i zdrowotne małych miasteczek, aby stworzyć w ten sposób nowe środki przyciągania ludności i cały kraj możliwie równomiernie prądem zamożnego i rozumnego obywatelstwa zasilać.

Sprawie tej dla rozwoju i przyszłości całego narodu naszego bardzo doniosłej powinno się odtąd więcej uwagi i starań poświęcać, a wszystkie czynniki odpowiedzialne za grosz publiczny, zmuszać do sumiennego i oględnego spełniania swych zadań, bez tak powszechnej dziś w niektórych kołach gonitwy za tanią popularnością.

Edwin Hauswald.

O naszem rolnictwie.

(Uwagi Tow. Muzeum Przem. w Rzeszowie [1]).

Rolnictwo u nas szybko upada. Ziemia orna dóbr magnackich (n. p. Rozwadów), jeżeli nie jest wydzierżawiona, we własnej administracyi prawie żadnego dochodu nie przynosi; dochód dotąd stanowiła propinacya i wycinanie lasów na wyłączną korzyść obcych.

Średni właściciele do 4 folwarków, ledwie się jeszcze trzymają; nie mogą podołać spłacie rat i procentów od długów hipotecznych.

Jeżeli gdzie jest lepiej, są to tylko wyjątki. Bankructwa właścicieli i dzierżawców idą za bankructwami. Ratunkiem ich miała być parcelacya, lecz ta dziko prowadzona, cenę ziemi wyśrubowała do niemożliwych granic, korzystając z chłopskiej żądzy posiadania jak najwięcej ziemi, z tak zwanego „zagonowego głodu“.

Ponieważ ustał napływ dolarów z Ameryki, uwijają się liczni agenci, bałamucący lud wiejski i miejski w ogóle robotniczy, do nowej emigracyi, dla zyskania nowego napływu dolarów do dalszej frymarki ziemią.

Na licznych posiedzeniach towarzystw rolniczych, różnych Syndykatów i Ankiet, wygłasza się uczone teoretyczne odczyty i długie prowadzi się dysputy o podniesieniu rolnictwa w kraju, ale bez praktycznego wyniku. W rzeczywistości kultura ziemi po większej części upada z powodu braku środków wprowadzenia teoryi w praktykę.

Rolnictwo coraz mniej przynosi, przemysł nie może się rozwinąć, emigracya się wzmaga, brak rąk do obróbki ziemi. Wszelkie czynności na roli w niewłaściwym czasie są wykonywane, n. p. nawóz obornik wywozi się na pola pokryte zlodowaciałym śniegiem — przez to z nawozu niema pożytku, bo cała zawartość ługuje się, ścieka do rowów, a temi do rzek. Wywózka taka zupełnie bezcelowa, wykonawca durzy siebie i drugich.

Właściciel dziwi się, że rola nie chce dać należytego plonu mimo, że nawet nadmiaru nawozu użył, zwala więc na klimat i t. d. (tak jest przeważnie we wschodniej Galicyi).

Gdy przyjdzie czas zbiorów, ludzie są za drodzy lub ich wcale niema, wyemigrowali; zostali starcy i dzieci i tych sami rolnicy między sobą licytują. Przez opóźnienie zbioru ziarno wypada, lub mokną snopy na deszczu, trzeba je suszyć i t. d. Należało tak postępować jak niemcy, czesi, duńczycy, holendrzy, francuzi, którzy zawczasu starają się o pracowników i nam ich zabierają.

Gdyby kraj był przemysłowym, braku ludzi by nie było, bo ci cały rok mieliby zajęcie, a w czasie zbiorów poszliby chętnie na rolę, bo do tej czynności przywykli i w tem się lubują, jak sami obcy za grani ą im to przyznają. W krajach uprzemysłowionych rolnictwo się tylko z roku na rok podnosi i przynosi sowite zyski, mimo sprowadzania robotników z daleka i opłaty ich przewozu

Na dowód podajemy najnowsze cyfry ze statystyki urzędowej podanej przez c. k. Towarzystwa rolnicze, zatem i przez nasze dwa Towarzystwa, za rok 1909 z 1 hektaru plon w hektolitrach i wagę w kilogramach hektolitra, tylko co do pszenicy (w innych zbożach jest podobny stosunek) w różnych krajach państwa:

Galicya Zachodnia . .	8 2 hl.	74.5 kg.	waga hl	
„ Wschodnia . .	11.7 „	78 2 „	„	„
Austrya dolna . . .	15 2 „	78.2 „	„	„
„ górna	13.4 „	74 2 „	„	„
Bukowina	9.8 hl.	76.5 kg.	waga hl.	
Czechy	19.6 „	77.7 „	„	„
Morawy	16 0 „	77.6 „	„	„
Śląsk	11 6 „	75.8 „	„	„

Okazuje się zatem, że pod względem przeciętnego zbioru Galicya przewyższa jedynie Bukowinę, zresztą nie dorównywa innym krajom austryackim.

Co do wagi hektolitra zboża znać pewien postęp, to jest, że ziarno poprawia się. Wynik to użycia superfosfatów, lecz niestety przeważnie pruskich, zamiast krajowych, które w niczem nie ustępują pruskim, tylko, że na pruskich jest... większe komisowe.

W miastach ludność nie może już znieść dzisiejszej drożyzny. Jadamy chleb morawski wagonami sprowadzany i docierający już do najmniejszych miasteczek --- mąkę zaś węgierską.

W roku 1908 sprowadzono zboża do Austryi za 18 milionów koron. (Węgrzy nie sprowadzają zboża) w r. 1909 już sprowadzono za 193 milionów k ron, z zagranicy, za które zapłacono cła około 60 milionów koron. Cała ta suma wpłynęła na wspólne wydatki Austr.-Węgier. Nie można tego stanu położyć wyłącznie na karb nieurodzaju, bo winna tu i nieumiejętność zużytkowania pracy rąk emigrującego ludu zagranicę za pracą i chlebem. Nasi właściciele, rządcy i t. d. umieją powszechnie narzekać na lenistwo chłopa, bo tylko leniwi pozostają w kraju. Obcy chwalą i są zadowoleni ze zręczności, pojętności, oraz pracowitości naszych emigrantów, którzy dlatego wszędzie są poszukiwani.

Podajemy jeszcze jeden przykład. Wiadomo, że uprawa buraków cukrowych jest najtrudniejszą i sowicie się opłaca, jeżeli wszelkie czynności koło nich są w porę zrobione. Potrzebuje to naturalnie znacznego wkładu, obróbka jest kosztowna — ale mimo to i wyniki wypadają wspaniałe. U nas w Galicyi ogólnie powiadają nasi rolnicy: nie opłaci się buraków uprawiać. A dlaczego? Bo brak kapitału obrotowego, dlatego też się pole buraczane zaniedbuje, chwastem się buraki zabija, nie wporę opiela, obredla, okopuje i t. d. Wynik więc smutny. Gdy przyjdzie czas kopania, ludzi nie ma, odbywają się z nimi targi, najczęściej zniewala się włościan do kopania pod warunkiem, że liście i głowy zielone pozwala im się zabierać. To jest błędem kardynalnym — bo liście powinny, jako pochłaniające z roli znaczną ilość soli, być przez własny inwentarz spaszone, a nawet dołowane na później. Nasi włościanie zrozumieli to z doświadczenia, chętnie idą do kopania buraków za liście i małą dopłatę, a nawet za same liście, zyskują bowiem doskonałą paszę dla swego inwentarza, oraz bogaty następnie nawóz. Dziwna rzecz, że nasi panowie rolnicy nie chcą zrozumieć, że tym sposobem znacznie osłabiają wydajność swej roli. Dziwnem się wydaje, że nasza galicyjska fabryka za mało zwraca uwagę, iż najlepsze i najwydatniejsze plantacye buraczane są małorolne, bo ci zawsze na czas sami obrobią — cała rodzina koło buraków chodzi. Prawda, że panowie urzędnicy mieli by trochę więcej czynności przy takim systemie, bo łatwiej mieć do czynienia z jednym dostawcą większym, niż z wielu drobnymi. Znamy wypadki, gdzie cały plon buraków przepadł przez zamarznięcie pola przed wykopaniem, a przyczyną była marnotrawna oszczędność, targowanie się z ludźmi, aż mrozy nadeszły: właściciel dyspozycye wydawał z oddalenia 300 kilometrów.

O podobnych sprawach dało by się wiele powiedzieć. Właściciele będący do połowy, a nawet do $^2/_3$ wartości obdłużeni, żyją jakby posiadali czyste majątki. Naturalnie, że brakuje im gotówki na opłatę rat i oprocentowanie, a w braku kapitału obrotowego musi rolnictwo upaść. Sprzedaje się nawet słomę dostawcom wojskowym, oraz wywozi się za granicę, a wszak ta w postaci nawozu powinna wrócić na rolę. To samo daje się także zauważyć u włościan, bo ziemia ich jest obdłużona tak jak nigdy nie była, a to wskutek dzikiej, bezceremonialnej parcelacyi, śrubowania cen ziemi nieusprawiedliwionego zupełnie niczem, chyba lichwą. Jednakże o ziemię włościańską nie ma wielkiej obawy, bo własna praca włościanina na własnym zagonie uchroni go od jej zupełnej utraty.

Ze wszystkich stron, nawet w ministerstwach pytają się i zastanawiają j ka jest przyczyna drożyzny dzisiejszej w miastach dużych czy małych; rozprawia się o tem na ankietach i szuka środków zaradczych, skutków jednak jak niema tak niema — ogólne narzekania, a nikt nie chce prawdzie zajrzeć w oczy. Wydaje się jakby z umysłu unikano jej, bo wiele czynników z tej nieświadomości ogółu korzysta, więc nawet usiłuje całą sprawę ile możności zaciemnić. Wielcy rolnicy spędzają na małych, jedni i drudzy na podatki i fiskalizm, na pośredników; przemysłowcy na robotników, podrożenie robocizny, taryfy kolejowe; zarządy kolejowe na uchwalanie przez parlament upaństwowienia zaniedbanych i zniszczonych przez poprzednich właścicieli (towarzystwa akcyjne), a nadto nierentujących się linii kolejowych, przez co na rentujących wszelkie taryfy musiały się znacznie podnieść, by można niedobory innych linii pokryć.

Winnych niema zupełnie, w rezultacie konsument jest winnym, że jest zmuszony żyć, mieszkać, ubierać się, jeździć, w ogóle konsumować.

Nie chce się wierzyć, by mógł Polak, chociaż konserwatysta agrariusz, postawić wniosek otworzenia granicy dla bydła i mięsa rumuńskiego dla całego państwa, z wyjątkiem Galicyi. Jesteśmy skłonni przypuścić, że jakiś dowcipniś niekrajowiec puścił już nie kaczkę, ale całą gęś w świat dla wywołania kompromitacyi ziemian, którzy powinni tak niecne zamiary na swą popularność z miejsca dobitnie odeprzeć, a winowajcę ukarać.

Mamy przekonanie, że przyczyną drożyzny jest nadmierne, nieproduktywne obdłużenie ziemi, tak wielkich jak małych rolników, a co za tem idzie zła obróbka ziemi, jałowienie jej, niemożność normalnego spłacania rat i procentów od długów. Zwiększone potrzeby i ciężary ludności wiejskiej, usiłuje się przerzucić na ludność miejską. My mieszczanie mamy więc prócz swoich, także raty i procenta za agraryuszy płacić, mimo, że nasze dochody zupełnie się nie zwiększają.

Ogólne zniechęcenie i niezadowolenie jest powodem, że jedna warstwa ludności patrzy na drugą z niedowierzaniem, a żywioły niespokojne i materyalnie silni wyzyskiwacze biorą górę. Stąd też nienormalnie wzmagają się: niemoralność, pijaństwo, próżniactwo, kradzieże, oszustwa, morderstwa, pieniactwo i t. d. Więzienia są przepełnione, sądy przepracowane, wymiar sprawiedliwości jest gorączkowy, doprowadzany aż do 3-ciej, 4-tej instancyi, co znowu niepomierne koszta tej sprawiedliwości pomnaża. (Dok. nast.)

[1]) Umieszczając te uwagi, chętnie otworzymy nasze szpalty dla przeciwnych zapatrywań, gdyż tylko dyskusya może rzecz wyjaśnić.

Sprawozdanie z działalności Koła Pań „Straży Polskiej“ za rok 1909.

W grudniu 1908 roku utworzone zostało „Koło Pań Straży polskiej“, gromadzące grono kobiet do pracy, mającej za cel szerzenie bojkotu towarów obcych, a popieranie przemysłu swojskiego, oraz dawanie inicyatywy do zakładania nowych fabryk w kraju.

Do celu tego zmierzało Koło Pań rozmaitemi środkami, a więc:

I. wydało i rozdało w wielkiej ilości odezwy, wzywające nietylko do bojkotu towarów pruskich, lecz zobowiązujące wprost do zaopatrywania się w wyroby swojskie, następnie do omijania miejscowości klimatycznych i kąpielowych w Prusach, do strzeżenia czystości języka ojczystego i posługiwania się nim zawsze w życiu codziennem.

II. W tych samych celach zwołane zostało przez „Koło Pań Straży Polskiej“ wielkie zebranie kobiet w sali Rady miejskiej, na którem przewodnicząca p. Starzewska wygłosiła referat, streszczający cele i zadania „Straży Polskiej“, a p. Sikorska mówiła o wychowaniu narodowem. — Bardzo licznie zebrana, a przeważnie z kobiet złożona publiczność, brała żywy udział w dyskusyi, która świadczyła o żywem zainteresowaniu się zadaniami Koła.

III. Jednem z owych wspomnianych zadań było założenie fabryki opłatków, nietylko kościelnych lecz i aptecznych, mogących pokryć zapotrzebowanie aptek w Galicyi, które dotychczas wszystkie tego rodzaju wyroby sprowadzały z zagranicy. Czynności wywiadowcze przeprowadzone osobiście przez przewodniczącą w Wiedniu i ministeryum handlu i przemysłu dawały wszelką rękojmię jak najlepszego powodzenia, to też „Koło Pań“ jakkolwiek z całą ostrożnością, lecz ze stałem postanowieniem i energią, przystąpiło do rozpoczęcia akcyi, gdy niespodziewanie otrzymano list p. Niewodowskiego organisty z Wadowic, donoszący, iż Liga pomocy przem., przychodzi mu z pomocą w sprawie założenia fabryki opłatków. — Zapytana o to Liga przemysłowa potwierdziła list p.

Niewidowskiego, dodając zapewnienie od siebie, że sprawę w swe ręce bierze.

Oświadczenie Ligi skłoniło „Koło Pań“ do porzucenia tej sprawy — z tem jednak przeświadczeniem, iż jednak Koło dało inicyatywę do utworzenia nowego u nas przemysłu.

IV. Rozumiejąc dobrze, iż bojkot towarów pruskich bez udziału kupców absolutnie przeprowadzić się nie da, postanowiło „Koło Pań“ zwrócić się do nich z propozycyą współdziałania — i w tym celu wybrane delegatki osobiście porozumiewały się z firmami kupieckimi. — Niestety zaledwie kilku młodych firm dało się nakłonić do zupełnego wyrzeczenia się towarów pruskich i do zaopatrywania się, o ile możności, w wyroby krajowe.

V. Piekącą sprawą są i były zawsze szkoły kresowe, a w danej chwili powstanie szkoły realnej w Orłowej. Za pomocą festynu zatem zbiera „Koło Pań“ fundusz w kwocie 720 K. i przesyła go Macierzy śląskiej. Rzec można, że byłto pierwszy i bodaj czy nie jedyny fundusz większy z Galicyi, jaki szkoła ta zdobyła.

VI. Rozumiejąc, iż geniusze narodów są ich chlubą, a cześć dla nich dowodzi żywotności i wyższej kultury narodowej — skorzystało „Koło Pań“ z jubileuszu Słowackiego i za pomocą sprzedaży wydawnictw i kwesty zebrało fundusze na pomnik wielkiego mistrza słowa — w kwocie 480 K.

Oprócz powyżej wspomnianych prac przeprowadzonych przez „Koło Pań“, zastanawiał się Zarząd „Koła“ na posiedzeniach, odbytych w liczbie 18-tu, nad rozmaitemi sposobami rozbudzenia w społeczeństwie poczucia obowiązku popierania przemysłu krajowego, a bojkotu towarów pruskich. — Przeprowadzoną też została liczna korespondencya w kierunku wywiadowczym. Przeprowadzono również silną agitacyę wśród członków w sprawie okolicznościowych towarów, jak np. kart korespondencyjnych, których zbyt z wyłącznie krajowych fabryk silnie się już rozpowszechnił. — Na posiedzeniach tych rozpatrywaną była sprawa „mody polskiej“, opierającej się na ubieraniu się w swojskie wyroby i nawet przedwstępne w tym celu przeprowadzono już czynności. Zarówno ta sprawa jak i rozpoczęta akcya w kierunku zorganizowania gospodyń wiejskich i założenia sklepu dla wytworów gospodarstwa wiejskiego są w toku i w przyszłem sprawozdaniu obszerniejsza i dodatnia być może nastąpi o nich wzmianka.

Reasumując działalność „Koła Pań“ S. P. zauważyć należy, iż pierwszy rok działania, jakkolwiek może nie zbyt obfity w skutki, wykazuje dość znaczną ruchliwość, wielką dozę dobrej i nawet najlepszej woli — z konieczności jednak akcya ograniczać się musiała w granicach wywiadu, rozpatrywania się w pracy, szukania najpewniejszych i najodpowiedniejszych dróg, prowadzących do celu.

Zarząd „Koła“ ma jednak niepłonną nadzieję, iż z czasem, nabierając doświadczenia, rozszerzywszy zakres działalności i zorganizowawszy większy zastęp kobiet, które pragnie pobudzić do pracy, będzie mógł i większym plonem tejże pracy się pochlubić.

Kraków, dnia 24. lutego 1910.

M. Wolńska — sekretarka. *H. Starzewska* — przewodnicząca.

Zamknięcie rachunkowe „Koła Pań Straży Polskiej“ za rok 1909.

Dochód.

Dary 439 K 17 h. Wkładki członków wspierających 98 K. Wkładki członków zwyczajnych 665 K 60 h. Dochód ze sprzedaży kartek 101 K. 72 h. Razem 1304 K. 49 h.

Rozchód.

Wypłacono Zarządowi głównemu z darów, 200 K. Wypłacono Zarządowi $^2/_3$ opłaty członków 422 K. 40 h. Ogłoszenia, portorya, potrzeby biurowe, sala na zebrania w Radzie m. 117 K. 37 h. Wierzytelność Zarządu głównego $^2/_3$ opł. członków do $^{31}/_3$ 1909, 21 K 32 h. Datek na festyn weteranów. 10 K. Razem rozchód 771 K. 09 h.

Pozostałość kasowa na r. 1910 (stan majątku) 533 K. 40 h.

Kraków, 1 stycznia 1910.

przewodnicząca *Henryka Starzewska.* skarbniczka *St. Sędzielowska.*

Sprawdzono

Emila Lambertowa, Marya Urslowa.

Nowe... nieszczęście.

Układy z N. O. Escomptegesellschaft o założenie Banku przemysłowego, zostały rozbite. Wśród większości naszego dziennikarstwa, które spółkę z Tow. Eskontowem witało jako nową erę dla Galicyi (a więc i dla Polski), powstało niesłychane oburzenie na sprawcę tej katastrofy. Książę Andrzej Lubomirski, dotychczas uznawany przez tęż prasę za jednego z najgorętszych patryotów, najpoważniejszych kraju obywateli, za męża zasłużonego na polu odrodzenia przemysłowego i t. d. i t. d. obecnie uchodzi bodaj czy nie za Targowiczanina.

Każdy dzień odwłoki w założeniu tego banku (a moglibyśmy się bez niego obyć aż do dnia dzisiejszego) jest według tych pism stratą niepowetowaną, ruiną kraju. Założenie zaś tego banku bez udziału Tow. dolnoaustryackiego — to rzecz niedająca się pojąć i przeprowadzić.

Jeszcze przed trzema miesiącami głucho było o tym jedynym sposobie zbawienia Galicyi — półtrzecia miesiąca temu ogólnie się oburzano na myśl oddawania przemysłu naszego pod rządy Niemców — a dziś?

Jak to wielka idea zwycięża!

A zbrodnia ks. Lubomirskiego jest tem więcej potępienia godną, że pragnął on narzucić dyrektora w osobie p. Wolskiego, że więc układy rozerwano o sprawę **osobistą**. Ba! ks Lubomirski chciał, aby temu dyrektorowi płacono rocznie z tantjemą i kosztami reprezentacyjnemi 90.000 koron, a na to (mówią rozpaczający) nie stać instytucyi mającej 10 milionów kapitału zakładowego.

Dla „Straży Polskiej“ ks. Lubomirski jest osobą całkiem obojętną, nigdy go Straż nie zaliczała do najzasłużeńszych obywateli (nie piszemy tego z przekąsem, lecz przyznajemy się otwarcie, że działalności księcia L. nie śledziliśmy i mało o niej wiemy), o istnieniu p. Wolskiego jeszcze przed miesiącem nic nie słyszeliśmy, nie jesteśmy wreszcie w żadnych stosunkach ani z potęgami finansowemi, ani ze stronami, które o sposób założenia Banku przemysłowego walczyły. Ztąd zdanie nasze może być mylne, ale szczere i bezstronne.

Wystąpiliśmy z wielkimi wątpliwościami wobec pierwszego projektu powstania banku, bośmy się obawiali, że Tow. eskontowe będzie miało w nim przewagę, a trudno nam było uwierzyć, aby Niemcom szło o wzrost przemysłu **polskiego**. Obawy swoje wypowiedzieliśmy w nrze 21 — a więc powtarzać ich szczegółowo nie będziemy. Widocznie te samy obawy skłoniły sejm do zmniejszenia udziału Tow. eskontowego i przypuszczenia do konsorcyum ks. Lubomirskiego z kwotą 2 miljonów.

Nie powiemy, aby i to nas bardzo zachwyciło, bo stawialiśmy sobie pytanie: jeżeli kraj daje 5 miljonów, konsorcyum ks. Lubomirskiego 2 miljony, to po co o 3 pozostałe miljony wyciągać rękę do Niemców? Ale mówiono, że tu idzie o wprowadzenie akcyi banku na giełdę, a Tow. eskontowe jest majstrem w tym kierunku.

Więc bylibyśmy milczeli, gdyby nie owa zbrodnia ks. Lubomirskiego.

Jakie były jej rzeczyste motywy wyjaśnia dr. Wojciech Dziedzic, zastępca prawny ks. Lubomirskiego. Posłuchajmy go zatem, bo nie każdy z naszych czytelników przeglądać może *Słowo Polskie*, w którem p. Dziedzic głos zabrał.

„Powodem rozbicia rokowań (pisze p. D.) nie była **wcale kwestya personalna, lecz kwestya programu Banku i związanego z Bankiem programu uprzemysłowienia kraju, czyli mówiąc jaśniej, kwestya, kto ma ten program ustanowić** i stać na jego straży — element swojski czy Towarzystwo Eskontowe.

„W toku rokowań oświadczył dyrektor Tow. eskontowego p. Krasny, że dając do Banku przemysłowego pieniądze i renomę swojej instytucyi, **musi mieć wpływ decydujący** na kierunek działalności Banku, że **w tym Banku nie może być tylko czynnikiem współdziałającym**, bo jest wobec swej Rady zawiadowczej odpowiedzialny za to, co się będzie robiło i jak się będzie robiło w Banku przemysłowym.

„Grupa ks. Lubomirskiego na to stanowisko zgodzić się nie mogła i nie może. Ona pojmowała i pojmuje zadania Banku przemysłowego w tym sensie, że ma to być instytucya popierania rozwoju przemysłu krajowego, nawet w tych razach, **gdyby ten rozwój stanął w kolizyi z kapitałem zachodnim** (czytajmy: niemieckim. Przyp. *Str. Pol.*) **i przemysłem zachodnim**. Dlatego oświadczyłem imieniem tej grupy, że ona nie zgodzi się nigdy na supremacyę Tow. eskontowego w Banku przemysłowym i na nadawanie Bankowi kierunku działalności przez Tow. eskontowe, ze przeciwnie, grupa zajmuje zasadnicze stanowisko, iż **program Banku i wykonanie programu musi być pozostawione elementom swojskim**.

„Na straży programu muszą stać **ludzie**. Programy na papierze dobre są do archiwów, lecz całe ich foljały nie pomogą, jeżeli ludzie nie dopilnują ich wykonania. **Stanowisko to podzielali wszyscy** biorący udział w rokowaniach. Dyrektor Tow. eskontowego oświadczył wyraźnie, że program ulegać musi zmianie, stosownie do stosunków, wytwarzanych przez życie. Jeszcze dobitniej wyraził się o znaczeniu, a raczej bezwartościowości pisanych programów J. E. p. Marszałek. I racja. Program szczegółowy, choć na pierwsze pięć lat trwania Banku, nie da się ustanowić z mocą bezwzględnie obowiązującą — bo w miarę stosunków taki program stanowiłby szkodliwe pęta dla działalności Banku i musiałby być zmieniany. Program ogólny, t. j. ustanowienie ogólnych zasad, pozostanie ogólnikiem, który można rozmaicie interpretować.

„Zatem **kwestya programu jest kwestyą ludzi**, którzy kierować mają Bankiem.

„A pod tym względem grupa ks. Lubomirskiego stała na stanowisku, że p. Wolski, dyrektor związków przemysłowych, posiadający rozległą erudycyę i doświadczenie w rzeczach przemysłowych, zakładający rok rocznie po kilka spółek i wogóle assocyacyi przemysłowych w Rosyi tak kapitałami krajowymi jak obcymi (belgijskimi, francuskimi i angielskimi) jest tym człowiekiem, który w pierwszych latach działania Banku przemysłowego nada mu właściwy kierunek, i który swoją erudycyą i indywidualnością oprze się wpływom i przewadze partnera wiedeńskiego — krótko, że p. Wolski jest tym człowiekiem, który popchnie Bank przemysłowy w pierwszych latach jego działania na tory właściwe, na tory pożyteczne dla przemysłu krajowego.

„I dlatego z **powodów zasadniczych**, dla warowania właściwego kierunku działalności Banku przemysłowego, grupa ks. Lubomirskiego oświadczyła się za osobą p. Wolskiego jako uosobieniem i gwarancyą właściwego programu Banku i uprzemysłowienia kraju, — co w protokole wyraźnie podniesiono.

Natomiast dyrektor Towarzystwa eskontowego **z tych samych zasadniczych względów** oświadczył się przeciw osobie p. Wolskiego.

„Pewnego wyjaśnienia wymaga jeszcze kwestya płacy.

„Otóż w samych początkach akcyi t. j. jeszcze w pierwszej połowie lutego ks. Lubomirski zapytał p. Wolskiego o jego warunki. Listem z 17. lutego p. Wolski podał te warunki zgodnie z tem, co doniosły dzienniki.

„Od tego czasu nikt z p. Wolskim o tej kwestyi nie traktował.

„Podczas rokowań wiedeńskich oświadczył wprawdzie ks. Lubomirski, że, jego zdaniem, nie wiele da się z tych warunków utargować, lecz zaznaczyć nawzajem muszę, że propozycya moja, aby w razie zasadniczej zgody na osobę p. Wolskiego, zapytać go, jakie są jego ostateczne żądania, została odrzuconą — powtarzam — głównie z powodu, że Towarzystwo eskontowe zasadniczo było przeciwne osobie p. Wolskiego. Zresztą, o ile wiem, to grupa ks. Lubomirskiego gotowa by była nawet **pokryć ewentualną dyferencyę płacy**, o ile by było przyszło do ostatecznych w tym kierunku rokowań.

„Bezpośrednim powodem rozbicia stała się wprawdzie kwestya dyrektora — lecz to przypadek. Tak samo mogły się układy rozbić o kwestye organizacyi, kwestyę Rady zawiadowczej, lub jakąkolwiek inną kwestyę, bo właściwy istotny powód tkwi głębiej, tkwi w walce o przewagę w Banku między elementem swojskim, a Towarzystwem eskontowem“.

Rzecz wytłumaczona jasno. Wiedeńskie Towarzystwo eskontowe chciało mieć **swego dyrektora**, aby nie popierać tego przemysłu galicyjskiego, którego rozwój nie byłby na rękę przemysłowi niemieckiemu. Wszak wyraźnie w sprawozdaniu swojem zaznaczyło, że będzie popierało przemysł naftowy i inny górniczy, jakiego nie posiadają kraje niemieckie Austryi, oraz cegielnie, gorzelnie, tartaki itd. to jest przemysł już rozwinięty i nie grożący konkurencyą przemysłowcom niemieckim. O utworzeniu nowych gałęzi przemysłu niema tam wzmianki.

Jeszcze jedno dodać należy.

Dzienniki nasze, sprzyjające Tow. eskontowemu, podniosły wielką wrzawę z powodu wysokiej płacy, jaką miał pobierać p. Wolski. Wynagrodzenie jego

nazywały „bajecznem“, nie zastosowanem do skromnych kapitałów Banku.

Pomińmy to, co pisze dr. Dziedzic, że grupa ks. Lubomirskiego „gotowa by była pokryć dyferencyę“ to jest dopłacać ze swej strony koło 30.000 K. gdyż pensya dyrektora proponowanego przez Tow. eskontowe, o ile wiemy, wynosiłaby z tantyemą i dodatkami conajmniej 60.000. Oświadczenie p. D. do niczego jednak nie zobowiązuje — obietnica to zbyt mglista, aby na niej się opierać. Również nie potrzebujemy zastanawiać się nad frazesem o „skromnym kapitale“, bo 10 miljonów miało dać konsorcyum na początek, a z rozwojem Banku przystępować z dalszemi udziałami. Dalej, wszak bank powinien ściągać wielkie zagraniczne kapitały i stwarzać miljonowe przedsiębiorstwa, a wobec tego kwota 30 tysięcy koron rocznie, bo o taką idzie, bynajmniej przerazić Tow. eskontowego nic mogła. Przecież, lekko licząc, wydatki administracyjne tego Banku wyniosą rocznie 300 000 K. — 30 tysięcy zatem mniej lub więcej na tym budżecie nie zaważy.

Najgorzej na tem wyszedł p. Wolski, któremu pewne szlachetne organy nie poskąpiły delikatnych przycinków o... wyzysku.

O p. Wolskim, powtarzamy, nic nie wiemy. Może on wart i 200 tysięcy rocznie, a może nie wart i 10 tysięcy. Ale wiemy, i to ze strony przyjaciół Tow. eskontowego, a przeciwników ks. Lubomirskiego, że p. Wolski pobiera nie licząc dodatków 30.000 rb. rocznie, co znaczy 76.000 K. Więc cóż dziwnego, pytamy, że kiedy mu proponują, aby porzucił to swoje stałe pewne stanowisko, żąda niezbyt stosunkowo wielkiego podniesienia płacy i odszkodowania w razie gdyby go usunięto. A jeszcze (pisze p. Dziedzic) można było coś utargować.

A toż w Krakowie kiedy z pewnego „gołego“ banku usunięto sprowadzonego z Wiednia dyrektora, będącego ostatnią miernotą, musiano mu dać „odstępnego“ 50.000 K i... mandat do Rady Państwa, gdyż bez mandatu odszkodowanie miało wynosić 120.000 K. A była to, powtarzamy, ostatnia miernota, która przed swoją dyrekturą zajmowała stanowisko bardzo drugorzędne i bardzo skromny dochód przynoszące.

Więc o co krzyk na p. Wolskiego?

Do tego krzyku na ks. Lubomirskiego i p. Wolskiego przyłączyła się i Rada miejska krakowska. Załamywała ręce z rozpaczy, że układy z wiedeńczykami przerwano. Kto mógł to się popisywał tanim patryotyzmem (?), bardzo podejrzaną miłością do przemysłu polskiego.

Pan Bandrowski wołał: zgroza! precz ze swawolą! — a p. Dattner prezes Izby handlowej smucił się, że „w kraju naszym wielkie kwestye ekonomiczne zaprzepaszczone bywają przez względy osobiste“. P. Dattner oświadczył dalej, że zna p. Wolskiego i sądzi, że „lepiej byłoby aby Bank nie doszedł do skutku, niż jeżeliby na czele jego miał stanąć p. Wolski“.

Ta opinia p. Dattnera jest dla nas... listem polecającym gorąco kandydaturę p. Wolskiego.

Zresztą niema o Bank obawy. Książe Lubomirski ogłasza, że go sam gotów założyć, a p Rosenblatt w Radzie miejskiej „w imieniu swoich przyjaciół“ obiecał utworzyć „spółkę krakowską“, aby zastąpić ks. Lubomirskiego.

A więc mamy pieniądze aż na dwa banki! Po co więc czarna rozpacz? *K. B.*

Głosy członków „Straży Polskiej“.

Konstantynopol 3. II. 1910.

Z przyrzeczenia danego WPanom przesyłania do „Straży Polskiej“ korespodencyi z Bułgaryi dotychczas się nie wywiązałem, po bliższem bowiem zbadaniu miejscowych warunków, doszedłem do wniosku, że eksport towarów, zwłaszcza polskich, byłby tam bardzo utrudnionym, z rozlicznych powodów, których obszerniejsze wyszczególnienie zbyt wiele miejsca by zajęło. Natomiast Konstantynopol, jako centrum wielkiego państwa, nie posiadającego zupełnie fabryk, przy bardzo niskich cłach wwozowych może stanowić bardzo poważny rynek zbytu. Turcy bardzo chętnie kupują wyroby polskie. Dotychczas już znalazłem nabywców: likierow, ołówków, piór, wyrobów galanteryjnych warszawskich, perfumeryi i t. d.

Wobec dużego zainteresowania się wyrobami polskimi powziąłem zamiar urządzenia przy swym kantorze czegoś w rodzaju biura informacyjnego o przemyśle polskim, oraz wydawania miesięcznika p. t. „Moniteur d'Exportation Polonaise“, i mam nadzieję, że Sz. Zarząd Straży nie odmówi mi swej pomocy w tym kierunku.

Ze względu na to, że pismo będzie wychodziło poza krajem, będzie mogło zupełnie bezstronnie poświęcić się informowaniu cudzoziemców o całokształcie przemysłu polskiego, bez specyalnego protegowania jednej z dzielnic, a zupełnego ignorowania innych, jak to nieraz ma miejsce. Sądzę, że przez podawanie informacyi, oraz monografii przemysłu polskiego, można będzie przyczynić się do pozyskania dla niego licznych odbiorców za granicą.

Oczekując łask. odpowiedzi i prosząc o zakomunikowanie mi Swej opinii o mym zamiarze wydawania pisma poświęconego eksportowi, zostaję:

z poważaniem: *Maciejowski.*

Z naszego przemysłu i bojkotu.

Pruskie sacharometry.

Towarzystwo Muzeum przemysłowego w Rzeszowie na wezwanie organizacyi bojkotowych sprawdziło jakich przyrządów używają gorzelnie w jego okręgu, poczem o rezultacie swych badań zawiadomiło lwowską organizacyę bojkotową, przesyłając jednocześnie redakcyi *Straży Polskiej* odpis tego zawiadomienia i własne uwagi. Z obszernego komunikatu podajemy kilka wyjątków:

W gorzelni w Górkach natrafiliśmy na termometr z wyrobem fabrykanta niewstydzącego się swego wyrobu J. Rapp. Nachfalz. Meiningen (Saksonia). Zresztą ponieważ bojkot towarów pruskich w Polsce jest za granicą głośny, a że Niemcy zalewają nietylko Galicyę, ale Królestwo i Rosyę swemi wyrobami w tej gałęzi, zaprzestali więc nawet na wyrobach swoich kłaść swoje firmy. Stąd przyrządy są bez ojcowstwa, a tylko z dawnych czasów błąkają się przyrządy z firmami. Nasi pośrednicy idą im na rękę, bo zdaje się mają na tem większe zyski.

W gorzelni w Boguchwale znaleziono sacharometr już wyraźnie pruski (gdyż ojcowstwa nie zaparto) z przedbojkotowych czasów, pochodzący ze Stacyi dośw. w Krakowie in Verein der Spiritusfabrikanten in Deutschland-Berlin N. 18768-Normah Sacharometr-Unten-ablesen.

Co do c. k. Stacyi doświadczalnej w Krakowie założycielem jej był ś. p. S. który często wyjeżdżał za granicę do Niemiec, nadto zanim przybył do Krakowa cały czas mieszkał we Wiedniu i jego okolicy. Był to bardzo serdeczny i godny człowiek, jednakże do polskości nie bardzo przywiązany. Dzisiejszego zarządu nie można więc bardzo winić, ale w każdym razie należy zwrócić uwagę, że chociaż w Galicyi tych przyrządów wogóle się nie wyrabia, ale za to w Czechach, na Morawach i w Wiedniu dosyć mamy fabrykantów tych przedmiotów, więc pocóż mamy naszym groszem wypychać kieszenie zapamiętałych wrogów?

Uczniowie zmarłego S-a kierujący stacyami w Krakowie i Dublanach, dalej propagują firmy protegowane przez swego profesora, a że wychodzi z tych instytucyi młodsza generacya gorzelników, stąd pochodzi rozwielmożnienie się wyrobów pruskich bez certyfikatów. Prosimy w tej materyi zwrócić się do prof. Pawlewskiego i Syniewskiego na politechnice we Lwowie czy nie potwierdzą naszego zapatrywania. Dzisiejszy dyrektor c. k. Szkoły przemysłowej w Krakowie, zarazem prezes Tow. Szkoły ludowej Dr. E. Bandrowski, przypuszczamy, przyzna nam słuszność i wpłynie na dodatnią zmianę, bo dotychczas nie zwrócił uwagi w tym kierunku.

Załączamy cennik Stacyi krakowskiej, gdzie również napada się na przepisowe urzędownie sprawdzone austryackie sacharometry, że wskazują wyżej. Jeżeli to udowodnią i publicznie wystąpią zrobią przysługę, że rzecz naprawioną zostanie. Dla kierowników gorzelń jest to ponętne bo tym sposobem chwalą się, że pracują lepiej, mają lepsze odfermentowanie, ale się sami i swych chlebodawców okłamują.

Ażeby tym stacyom pomódz należy zebrać spis wszystkich tych fabrykantów, którzy w Czechach i Austryi trudnią się wyrobem pomienionych przyrządów odnosząc się w tym względzie do izb przemysłowych. Wyraźnie chodzi o fabrykantów, a nie o składy, które często na swoim towarze mają własną firmę podaną zamiast fabrykanta.

Z naszymi kupcami organizacye bojkotowe nie dojdą do ładu. Mało mamy stosunkowo ukwalifikowanych kupców; przeważna ich część to dyletanci, leniwi, nawet sami zamówień nie robią, czekają na ajenta, który naturalnie za nich zamówienia spisuje i przyjmuje. Z tej przyczyny taka niechęć do wyrobów krajowych. Grają tu nadto rolę znaczniejsze zyski jakie im dać mogą zagraniczni wytwórcy, produkujący masowo.

Dlatego należy inną drogą trafić do kupców. Trzeba urządzać często wiece, szczególnie pań i kobiet, które nawet same powinny zwoływać zebrania, i tłomaczyć na nich publiczności, że popieraniem wrogów naszych sami sobie i krajowi zgubę gotujemy.

Jeżeli przyjdzie się do sklepu i zażąda jakiegoś towaru, o którym wie się napewno że jest w kraju wyrabiany, a podadzą obcy, należy zażądać krajowego, a jeżeli nie ma go kupiec nie kupić i ostentacyjnie wyjść ze sklepu i powiedzieć: „zatem idę tam gdzie go mają“. Jeżeli publiczność systematycznie tak będzie działać, kupcy nabiorą rozumu, bo interes ich tego będzie wymagał. To może nawet być powodem powstawania u nas fabryk z nowymi działami, inaczej nic nie zdziałamy. Każdemu kupcowi nie możemy nakazać, ani zakazać posiadania na składzie pruskich towarów, a przy działaniu jak projektujemy, nikt nie będzie mógł nic nam zarzucić — to będzie właściwie samoobroną najzupełniej legalną i dozwoloną.

Dwa bojkoty. Jak wiadomo, austryacki minister sprawiedliwości wydał rozporządzenie, mające na celu przeciwdziałać bojkotowi towarów pruskich w Galicyi. Wobec tego zasługuje na uwagę okólnik węgierskiego ministeryum skarbu, ogłoszony w gazecie. *A. Dohanyarus,* w którym wprost przeciwnie zalecony jest bojkot obcych towarów w interesie przemysłu węgierskiego. I nie chodzi tu nawet o towar zagraniczny, lecz o wyroby narodów, stanowiących austryacko-węgierską monarchię, mianowicie o papier cygaretowy i tutki galicyjskie, które przewyższają fabrykaty wszystkich innych krajów austryackich. A zatem węgierski minister mówi: „Precz z towarem galicyjskim!“, a minister austryacki oświadcza: „Zabraniam w Galicyi bojkotować towarów pruskich!“

Oto okólnik węgierskiego ministeryum skarbu: „Okólnik do wszystkich królewsko-węgierskich dyrekcyi skarbu. Z zażaleń, z rozmaitych stron otrzymywanych, dowiedziałem się, że trafikanci nie bardzo chętnie przyczyniają się do wspierania węgierskiej krajowej konfekcyi papieru cygaretowego i owszem, polecając wyroby niekrajowe, popierają przemysł zagraniczny. Mogę się spodziewać, że trafikanci, jako wyposażeni względami rządu, będą świecili przykładem innym w sprawie popierania przemysłu rodzimego. Okoliczność, że węgierski papier cygaretowy za granicą w wielkich ilościach zbyt znajduje, udowadnia, że węgierski papier cygaretowy tak co do ceny jak i jakości w zupełności z tego rodzaju wyrobami zagranicznemi w zawody iść może, zwłaszcza, że ta gałąź przemysłu coraz więcej się u nas rozwija. Wobec tego upełnomacniam dyrekcyę, aby trafikantom, zamieszkałym w jej okręgu, poleciła wprowadzić na sprzedaż tylko węgierski papier cygaretowy. Należy także trafikantom zwrócić uwagę, że mają obowiązek organom finansowym corocznie wykazywać, skąd pochodzą przez nich sprzedawane tutki, papier cygaretowy, jako też inne wyroby z papieru. Jednocześnie polecam dyrekcyi, aby swej podwładnej straży skarbowej przykazała przeze mnie omówioną sprawę przy dokonywających się kontrolach forsować, starając się przytem o jak najlepsze skutki. Odpowiednie wykazy kontroli należy za pośrednictwem składów głównych corocznie do dnia 31. marca składać ministeryum skarbu. Budapeszt, w sierpniu 1909. Aleksander Wekerle“.

Do okólnika powyższego dodaje *Słowo Polskie* uwagi następujące:

„Bliższe komentarze, sądzimy, są zbyteczne. Nie możemy jednakowoż pominąć milczeniem, że nasz przemysł konfekcyi papieru cygaretowego, ze wszystkich krajów koronnych Austro-Węgier najwyżej stojący, wskutek powyższego rozporządzenia znacznie ucierpiał, gdyż dotychczasowy zbyt do Węgier został poważnie zmniejszony. Wiadomo nam również, że fabryki galicyjskie, w celu uzyskania marki fabrykatu węgierskiego, bądź już przeniosły, lub w niedalekiej przeniosą część swoich fabryk do Budapesztu, wskutek czego robotnicy nasi będą pozbawieni pracy“.

Krajowa fabryka zabawek.

Starania, jakie wkłada kraj w przygotowanie się do pracy przemysłowej, zaczynają wreszcie przynosić owoce. Dzięki poparciu Sejmu i Wydziału krajowego, kształci się co roku pewna liczba młodzieży przemysłowej za granicą, aby powróciwszy do kraju, wziąć się do praktycznej praktyki wytwórczej.

Leżajsk — miasteczko w powiecie łańcuckim — święcić będzie w tych dniach pamiętną chwilę rozpoczecia potrzebnej bardzo produkcyi przemysłowej przez dwóch tęgich i pracowitych młodzieńców, wykształconych zawodowo przy pomocy kraju i leżajskiego Towarzystwa Pomocy przemysłowej.

Syn mieszczanina leżajskiego, Maryan Garbacki, ukończywszy szkołę zabawkarską w Jaworowie, wysłany został staraniem Wydziału krajowego za granicę, gdzie przez trzy lata pracował w kilku największych fabrykach zabawkarstwa drewnianego i wyrobów galanteryjnych. Powróciwszy do kraju złączył się z drugim byłym uczniem szkoły jaworowskiej, p. Władysławem Szczepaniakiem z powiatu myślenickiego i otwierają w tych dniach większą pracownię zabawek i galanteryi drzewnej w Leżajsku. Równocześnie tamtejsza Pomoc przemysłowa krząta się około utworzenia Spółki udziałowej z większym kapitałem, któryby umożliwił dwu dzielnym młodym pionierom przemysłu rozwinięcie produkcyi na większa skalę.

Ponieważ organizacya tej Spółki spoczywa w rękach niezwykle dla tych spraw życzliwego i energicznego burmistrza, rejenta p. Nowińskiego, jest nadzieja, że zamiary leżajskiej Pomocy przemysłowej zostaną wkrótce urzeczywistnione i Leżajsk stanie się siedliskiem poważnego przemysłu w dziale zabawkarstwa.

Pracownia p p. Garbackiego i Szczepaniaka podejmuje się wykonywania wszelkich wyrobów masowych drobiazgów z drzewa, jak pudełek drewnianych, tabliczek dla ogrodników, deszczułek do szczotek, a przedewszystkiem podejmuje się produkcyi zabawek na szerszą skalę.

Jak się popiera przemysł krajowy. Jednym z przyczynków do dziejów popierania (?) przemysłu krajowego jest sprawa fabryki zeszytów założonej w Krakowie staraniem nauczycielstwa ludowego.

Zaraz po powstaniu fabryki, liczni fabrykanci w kraju, którzy przeważnie fabryczny swój wyrób ograniczają tylko do składania i zszywania zeszytów, podnieśli krzyk oburzenia, że nauczycielstwo śmie mieć własną fabrykę, a zarazem robić konkurencyę ich wyrobom, które mają w kraju „zasługi“ (sic!) Zebrali się też 1. czerwca z. r. we Lwowie i wypowiedzieli wojnę nie byle jaką. Zorganizowana armia składa się z następujących firm: Landau & Zucker Kraków; Izrael Ringer Kraków; M. Gold Wieliczka; kraj. wytwórczo-handlowa fabryka Lwów; „Leopolia“ Silbersteina Lwów; Haendel & Silberstein Lwów; Bracia Kolischer Czerlany i innych podobnie „zasłużonych“ (?) fabrykantów. Zorganizowani ci fabrykanci odnieśli się ze skargą na nauczycielstwo do prezydyum Rady szkolnej krajowej, wskutek czego władza ta wydała okólnik do wszystkich szkół ludowych, w którym wzbrania nauczycielom: „zalecać młodzieży szkolnej pewnych oznaczonych sklepów z przyborami do pisania i rysowania, oraz wszelkiej agitacyi w tym kierunku“.

Jak widzimy „zasłużeni“ fabrykanci umieli zdobyć sobie sympatyę Rady szkolnej kraj., która na ich życzenie dała nauczycielstwu wytknięcie i ostrzeżenie, że mu nie wolno popierać wyrobów własnej fabryki.

Nie dosyć na tem. Potęga tych „krajowych“ fabrykantów, wciągnęła do swej akcyi „Ligę pomocy przemysłowej we Lwowie“, instytucyę, stworzoną ku „popieraniu“ krajowych fabryk i wyrobów. Otóż na początku roku szkolnego „Liga“ ta wydała odezwy do młodzieży szkolnej, jako też nauczycieli, aby kupowali i popierali wyroby firm wyżej wymienionych, jako wyroby krajowe. Fabryki nauczycielstwa w spisie tym nie umieściła. Ogłosiła zarazem, że wszystkie inne zeszyty, a więc i fabryki nauczycielstwa „nie są krajowymi wyrobami“ (sic!) Ostrze tego okólnika skierowała „Liga“ jedynie przeciwko tej fabryce. W niektórych miejscowościach, gdzie o tej fabryce prawdziwe wiadomości jeszcze nie dotarły, jak n. p. w Przemyślu, odezwa ta odniosła swój skutek, na co są dowody. Zapytać należy, czy „Liga pomocy przemysłowej“ postąpiła właściwie, wprowadzając w błąd nieuświadomioną dziatwę szkolną i publiczność [1]).

Najzjadliwiej jednak przeciw fabryce nauczycielstwa wystąpił „Centralny Związek Galicyjskiego Przemysłu fabrycznego“ z siedzibą we Lwowie, którego dyrektorem i główną sprężyną jest znany p. poseł Bataglia. Instytucya ta, a raczej jej dyrektor wysłał pismo do wszystkich rad szkolnych okręgowych denuncyując związkowe nauczycielstwo, że jest wspólnikiem fabryki zeszytów, że prowadzi agitacyę na korzyść swojej fabryki, a zarazem ze szkodą innych fabryk, że ta agitacya niema za sobą motywów wyłącznie ideowych (?!) lecz ma za cel osiągnięcie zysku materyalnego (!!); (według logiki p. Bataglii owe „zasłużone“ fabryki, w których imieniu wystąpił z tą denuncyacyą; mając na oku wyłącznie cele ideowe) co musi budzić już zasadniczo pewne wątpliwości, a wkońcu wzywa pomocy tych władz szkolnych o wpłynięcie na podległe sobie zarządy szkół ludowych i wydziałowych, by starały się przeciwdziałać tej agitacyi prowadzonej wyłącznie na rzecz krakowskiej związkowej fabryki (!!) P. Bataglia żąda więc, aby Rady szkolne zmusiły zarządy, by wystąpiło nauczycielstwo przeciw własnej fabryce, a popierało zeszyty tych protegowanych przez niego fabryk. To trochę zabawnie wygląda.

Że p. Bataglia ma wpływ i że się z nim „u góry“ liczą, dowodzi ta okoliczność, że już niektóre Rady szkolne na podstawie pisma „Centralnego Związku galicyjskiego przemysłu fabrycznego“ wydały okólniki do zarządów szkolnych, przytaczając w całości to pismo i wzywając do „przeciwdziałania“ agitacyi nauczycielstwa na rzecz związkowej fabryki. Okólnik taki wydała między innemi lwowska Rada szkolna okręgowa.

Liga pomocy przemysłowej protektorem hakatystów. Od Ligi pomocy przemysłowej otrzymujemy artykulik pod tytułem: „Bezczelność bielskiego hakatysty“. Oto jego brzmienie:

„Liga pomocy przemysłowej powodowana chęcią poparcia krajowego przemysłu zwróciła się między innemi do fabrykanta sukna w Białej p. Rudolfa Lukasa z zachęceniem do ubiegania się o pewną większą dostawę sukna w kraju.

„Na list polski otrzymała Liga pomocy przemysłowej odpowiedź niemiecką, a ponieważ z firmami krajowemi koresponduje Liga wyłącznie jednym z dwóch języków krajowych, zwróciła się do p. Lukasa z grzecznem pismem, prosząc o korespondencyę w języku polskim.

„Na to p. Lukas oświadczył, że w Białej, mieście polskiem, „niema w swoim kantorze nikogo rozumiejącego język polski“, że biuro fabryczne p Lukasa koresponduje w językach: francuskim, angielskim, włoskim, ale nigdy w polskim korespondować nie będzie.

„Liga pomocy przemysłowej podaje fakt ten bez komentarzy do publicznej wiadomości“.

Na tem koniec komunikatu Ligi, która nie czuje nawet, jak sama dziwnie wygląda. Jakto, więc Liga nie wiedziała, że p. Lukas, przemysłowiec bialski, jest niemcem, że jego przemysł nie jest polskim i jeszcze temu niemcowi chciała dać większą dostawę, tak jakby nie było polskich fabryk sukna w Galicyi. Wszak w skorowidzu Ligi mamy wyliczone fabryki polskie Zajączka i Lankosza w Kętach, Boguckiego w Żywcu Tow. akcyjnego w Łańcucie i t. d. Ta naiwność Ligi, z którą już tyle razy się spotykaliśmy, zaczyna być niepokojąca.

[1]) Liga przemysłowa po zwróceniu jej uwagi przez „Głos nauczycielstwa ludowego“ tłumaczy się, że nie wiedziała (a któż ma wiedzieć jak nie L. P.) o fabryce krakowskiej i że wciągnęła ją na listę firm popieranych.

P. L. N.

Roczne zebranie członków Wydziału naczelnego i Zarządu P. L. N. odbędzie się w końcu b. m. i obejmie sprawy wielkiej wagi, jak pozyskanie nowych osobistości do Wydziału i Zarządów Towarzystwa, porozumienie się P. L. N. ze „Strażą Polską“ co do wspólnej i jednolitej pracy, zmiana statutu, utworzenie funduszu żelaznego, sprawozdania, wnioski i t. d.

Koło lwowskie P. L. N. urządziło w dniach 18. i 25. lutego wieczory parlamentarne na temat bardzo żywotnej dzisiaj kwestyi równouprawnienia kobiet. Na pierwszem zebraniu przedstawił prezes Koła lwowskiego Dr. Warmski w nader zajmującem barwnem przemówieniu wady i sprzeczności w ustawach, tak bardzo krzywdzące kobietę, i zachęcił do jak najszybszej akcyi, mającej na celu reformę odpowiednią ustaw austryackich. Na drugiem zebraniu przedstawił p. Krzysztofowicz stanowisko kobiety w społeczeństwie od czasów najdawniejszych po dzień dzisiejszy, zwracając szczególną uwagę na znaczenie jej wśród naszego narodu. Wśród ożywionej dyskusyi na ten temat wygłosiła p. Dekańska kilka bardzo trafnych i głębokich myśli. Oprócz niej głos zabierali p. Zieniewska i inni.

Komitet inicyatywy urządził w ostatni dzień zapust zabawę w salce Tow. Technicznego, przyczem szczególniej uwzględniono piękne tańce polskie, jak Krakowiak, Oberek i Kujawiak.

Dochód wynoszący 179 koron przeznaczył Komitet na rzecz P. L. N., za co Zarząd Towarzystwa szczere wyraża dzięki.

Sprawy majątkowe P. L. N. Wiemy z doświadczenia całych stuleci, że do rozwoju i powodzenia najwznioślejszych nawet dążeń potrzeba przedewszystkiem dzielnych, chętnych i zdatnych ludzi, a nadto pewnej drobnostki — oto pieniędzy! To też działowi skarbowemu poświęca P. L. N. bardzo wielką uwagę, starając się o ustawiczny przyrost dochodów, a ograniczenie wydatków jak najdalej idące — stosując zakres swej pracy do środków, jakimi w danej chwili rozporządzać można.

Wolimy wzrastać powoli lecz pewnie, niż zabłysnąć na chwilkę jasnym płomieniem, owym płomieniem słomy — po to tylko, aby następnie zgasnąć zupełnie.

I nie wątpimy, że ofiarność społeczeństwa naszego na cele ogólno-narodowe, które są jedynem zadaniem naszych Towarzystw, potęgować się będzie z roku na rok, dając przez to organizacyom polskim tę siłę materyalną, która im do spełniania ważnych, szczytnych, a trudnych zadań jest niezbędną.

Pragnąc ułatwić członkom **składanie podatku narodowego**, przystąpił Zarząd Ligi do pocztowego obrotu czekowego pod liczbą rach. 114,853. Przy wpłatach należy podać na czeku tytuł:

Polska Liga Narodowa
we Lwowie
Fach czekowy l. 114.853.

Czeki wysyła na żądanie biuro P. L. N.

Komisya organizacyjna. Dotychczasowy kierownik K. O. złożył swój urząd; obowiązki kierownika obejmuje członek Zarządu p Kaz. Żardecki. Pisma w sprawach tej komisyi należy odtąd zwracać do Biura P. L. N. we Lwowie, ul. Czarnieckiego, 3., II. p. — Adres: „ul Sadownicka i t. d.“ odpada!

Komitet Pomocy dla młodzieży Polskiej. Jak czytelnikom naszym wiadomo, rozpoczęła Liga Narodowa zbierać w sierpniu 1909 r. środki na popieranie materyalne młodzieży polskiej, kształcącej się w naszych akademiach we Lwowie, a pochodzącej głównie z zaboru wschodniego Polski, zapowiadając z góry, że dalsze prowadzenie sprawy odda w ręce osobnego „Komitetu obywatelskiego“ odpowiednio złożonego z przedstawicieli gron profesorskich, członków Wydziału Ligi Narodowej i delegatów głównych Towarzystw akademickich we Lwowie i w Dublanach.

„Komitet obywatelski“ postanowił oddać dalszą akcyę w ręce osobnego grona pod nazwą „Komitetu Pomocy dla kształcącej się młodzieży Polskiej“, który składa się z delegatów Uniwersytetu, Politechniki, Akademii rolniczej i Weterynaryi, Ligi Narodowej i Tow. akademickich „Bratniej Pomocy słuch. Uniwersytetu, politechniki, akademii weterynaryi i rolniczej, Tow im. Orzeszkowej, Czytelni akad., „Polskiego Zjednoczenia studentek“ i Tow. „Życie“.

Przewodniczącymi Komitetu są p. Franc. Rawita-Gawroński i prof. Dr. Karpiński, skarbnikiem Dr. Stanisław Korytko, sekretarzem tymczasowym p. Heim.

Na pierwszem posiedzeniu uchwalono przystąpić do rozdzielenia części funduszów zebranych — w postaci kilkunastu drobniejszych zasiłków, zwrotnych po ukończeniu studyów przez pożyczających. Nadto postanowiono wydać odezwę do społeczeństwa z prośbą o wydatne poparcie tej tak użytecznej i patryotycznej akcyi.

Dary pieniężne na ten cel posyłać można na książeczkę „7747“ z uwagą „Pomoc dla młodzieży“ pod adresem „Banku Zaliczkowego“ we Lwowie, Hetmańska 19.

Rozmaitości.

Mniejszości polskie w Galicyi wschodniej. Kilka dat co do szkolnictwa polskiego w Galicyi wschodniej zamieszcza dr. Stanisław Kasznica w *Gazecie Narodowej*. Wykazuje, że poza Lwowem było w Galicyi wschodniej prawie 200,000 dzieci polskich-łacińskich w wieku szkolnym, stanowiących 30 do 50 proc. ogółu dzieci w 13 okręgach szkolnych, mniejszy procent w reszcie okręgów. Na miasta przypada z tej cyfry 50,000, na wsi 140,000 z górą. Dzieci żydowskich p. Kasznica nie wylicza.

Z cyfry tej 150,000 uczęszcza do szkół ludowych polskich, reszta musi pobierać naukę po rusku. Są to niemal wyłącznie dzieci chłopskie. Żyją one w atmosferze ruskiej po wsiach przeważnie ruskich i od dzieciństwa ulegają wynaradawiającemu wpływowi otoczenia. Kościoły są rozsiane rzadko, dwory nie często spełniają swą misyę narodową wobec włościaństwa polskiego, wpływ Towarzystw polskich jest nie głęboki, więc wynarodowieniu powinna przeciwstawić się przedewszystkiem szkoła.

Ustawa określa liczbę dzieci, dla których należy utworzyć szkołę, na 40, żyjących w jednej grupie. Otóż 18,000 dzieci polskich żyje w skupieniach, nie dochodzących do czterdziestki. Grupy te stanowią teren działalności Towarzystwa Szkoły Ludowej. P. Kasznica stwierdza, że działalność tego Towarzystwa „nie przynosi takich owoców, nie żłobi w życiu naszego narodu na wschodzie takich głębokich i trwałych znaków jak trzeba, nietylko dlatego, że za mało skupia się w niem ludzi, zwłaszcza z zamożniejszych warstw, że za szczupłymi wskutek tego rozporządzenia środkami, ale i dlatego, że nie jest nieplanowa, niesystematyczna, idzie na oślep“. Należy ułożyć plan strategiczny na lata i według niego działać, o czem wie zresztą zarząd centralny.

Natomiast 20,000 dzieci znajduje się, według dr. Kasznicy, w skupieniach większych niż 40 dzieci, około 9,000 grupuje się po 80 do 160. Administracyi szkolnej winić o to nie można, gdyż ona wskaże w odpowiedzi na ustawę. Dr. Kasznica wyraża przeto nadzieję, że Sejm krajowy „stworzy prawne podstawy dla akcyi, zmierzającej do tego, aby każde dziecko polskie w tym kraju mogło się uczyć i uczyło się po polsku“.

Cui bono? Gazety nasze obiegł jednobrzmiący artykulik zaczynający się od słów:

„Z Poznania donoszą nam, że zanim jeszcze rozstrzygnęły się ostatecznie losy ordynacyi Rydzyńskiej, wielki majorat baronów Bülowów w Meklemburgii, do której to rodziny należy także były kanclerz Rzeszy ks. Bülow, przeszedł w ręce polskie, a mianowicie p. Barona Hermana von Bülow w Anasówce pod Wołoczyskami na Wołyniu“.

Niektóre nawet pisma zatytułowały go „Rekompensata za Rydzynę“.

Predewszystkiem możnaby przy tej sposobności powiedzieć: „Przypomniał sobie dziad, kiedy z pieprzem jadł“. Historya majoratu w Meklemburgii jest prawdziwa, tylko stara. Przeszedł on w ręce Polaka blisko dziesięć lat temu.

Rzecz się tak miała:

Posiadacz majoratu starszej linii rodziny Bülowów w Meklemburgii (b. kanclerz należy do linii młodszej) zmarł bezpotomnie. Według ustawy rodzinnej, w takich wypadkach zjeżdżają się żyjący pełnoletni członkowie rodu i majorat przechodzi w ręce jednego z nich drogą losowania. Otóż okazało się, że na Podolu żyje czterech Bülowów z tej linii. Są oni Polakami i pochodzą od oficera napoleońskiego, który osiadł w Polsce. Wezwano też ich na zjazd rodzinny i właśnie los padł na jednego z nich. Tym sposobem Polak został posiadaczem majoratu w Meklemburgii, kraju czysto niemieckim, co jest wypadkiem dosyć oryginalnym, ale nie mającym przecie żadnego znaczenia narodowego. Boć chyba nikt nie planuje organizowania kolonizacyi polskiej w Meklemburgii.

Trzeba dodać, że majorat wcale nie jest „wielki“, jak piszą nasze gazety. Za Rydzynę np. możnaby co najmniej dziesięć takich majątków kupić.

A teraz zapytamy, *cui bono* do tej odgrzanej wiadomości o majoracie meklemburskim została przyplątana Rydzyna. Gdzie Rzym, gdzie Krym, gdzie karczmy babińskie?... Czyżeśmy — już takie dzieci, że za usuwającą się nam z pod nóg ziemię w Poznańskiem, za wielkie straty narodowe szukać gotowiśmy rekompensat w przenoszeniu Polaków do Meklemburgii?...

Doprawdy, zdałoby się trochę więcej krytycyzmu w podawaniu rozmaitych fabrykatów dla prasy...

Co do Rydzyny zresztą sprawa nieskończona — toczy się dalej.

Sądowe kwiatki. Od pewnego czasu nasze sądy powiatowe i obwodowe do ściągania różnych należytości używają blankietów czekowych.

Ze względu na to, że językiem urzędowym w sądach jest język polski powinny również czeki być polskie, ewentualnie w wschodnich powiatach polsko-ruskie. Tymczasem jest przeciwnie.

Większość sądów w zachodniej Galicyi posługuje się czekami wyłącznie niemieckimi, a we wschodnich powiatach niemiecko-ruskimi.

Polski język jest zupełnie wyeliminowany. Na dowód przytaczamy kilka takich kwiatków:

„Bezirksgericht Tarnów“, Kreisgericht Przemyśl“, „Bezirksgericht Horodenka“, „Steuer-und gerichtliches Depositenamt Bukowsko“ i po rusku „Uriad podat. i sudowo-depozytowyj Bukowsko“.

Doprawdy nie wiedzieć, czy to jest nowy jakiś kurs polityki prezydentów, czy brak zastanowienia u zamawiających czeki funkcyonaryuszów sądowych.

Kasimir de Barbaro. Tak się zowie szlachetnie patryotyczny pan, który chcąc się stać dobroczyńcą c. k. trafik galicyjskich, ułożył i wydał dla wygody P. T. trafikantów dzieło, noszące tytuł: „Schnell und Sicherrechner für Tabakspecialitaten der Regieerzeugungen“.

Widzieliśmy to dziwo własnemi oczami i polecamy pana „de Barbaro“ c. k. urzędnika we Lwowie uznaniu i poparciu wszystkich obywateli galicyjskich, którzy nie są jeszcze barbarzyńcami.

Na pograniczu Chełmszczyzny w Bełzcu rozpoczynają miejscowi patryoci budowę sokolni. Jestto bardzo ważna placówka kresowa, z której myśl polska będzie orzeźwiać mdlejące dusze ludności Polskiej z poza słupów granicznych. P. L. N. prosi wszystkich Rodaków, by poparli te usiłowania jak najliczniejszemi datkami, które należy nadsyłać pod adresem: Lachowski — prezes Sokoła — Bełzec w Galicyi.

Uwagi.

Już przed dziesięciu laty piszący te słowa zauważył: „Systematyczne obrzucanie błotem wszystkiego i wszystkich sprawia, że zabrakło nam poprostu ludzi posiadających ogólne zaufanie. Czy zdołalibyśmy z pomiędzy nazwisk wybitnych ludzi wymienić kilka, a choćby jedno, które jest dziś otoczone w całym kraju powszechnym szacunkiem, jest powagą, firmą narodową przez nikogo nie kwestyonowaną?“..

W ciągu tych dziesięciu lat nic się nie zmieniło — tylko, że tę uwagę i to zapytanie coraz częściej słyszymy i czytamy.

Bo i czy jest ktoś, już nie w Polsce, ale w naszej „ściślejszej“ ojczyźnie, o którym ludzie różnych obozów wyraziliby się: „oto jest prawy obywatel, jego słowom zawierzyć można, on dobro ogółu stawia po nad dobro własne i jednostek, jego nikt nie kupi, on nie przyłoży ręki do żadnej brzydkiej sprawy, nie weźmie udziału w intrydze, nie poskąpi swej pracy i czasu dla dobra społeczeństwa, nie splami godności narodowej, — on choćby źle doradził, źle postąpił, to uczyniłby to w dobrej wierze, w silnem przekonaniu, że najlepiej służy krajowi“.

Nie, wybitnego działacza, o którym wszyscy mieliby to zdanie, nie znajdziesz u nas już nie ze świeczką, ale z lampą elektryczną o sile 500 płomieni.

Czy ludzi tej wartości niema, to rzecz inna, — ale opinia powszechna ich nie zna i nie uznaje.

Więc też powtarzamy, niema w kraju ani jednego człowieka, któregoby otaczano powszechnym szacunkiem, który byłby powagą, firmą narodową.

Jeżeli zaś który z tych wybitnych zachoruje i umrze, to o jego chorobie najczęściej niema ani słowa w naszych organach, albo są wzmianki krótkie, a po śmierci posypią się wprawdzie nekrologi, ale w tonie umiarkowanym, a jedynie w dziennikach jego stronnictwa powstaje płacz i zgrzytanie zębów.

Umarł Lueger, burmistrz wiedeński.

Zrazu liberał, niechętny dynastyi, później konserwatysta, obrońca tronu, założyciel potężnego stronnictwa chrześcijańsko-społecznego.

Była to postać niezwykła i wpływowa. Dowodem tego choćby udział dworu w jego pogrzebie.

Dla nas mógł być o tyle sympatyczny, że nie należał do wszechniemców, owszem był zdecydowanym ich przeciwnikiem

Nie dążąc do Berlina, był przecież gorącym patryotą niemieckim. To mu się nawet chwali — każdy powinien gorąco kochać swój kraj i naród. Ale Lueger przekraczał granice tej „powinności“. Jak „oczyścił“ ze Słowian magistrat wiedeński, tak chciał oczyścić z nich cały Wiedeń z Niższą Austryą. Uchwała sejmowa tego „kraju koronnego“, aby żadna szkoła, oprócz niemieckiej, nie otrzymywała prawa publiczności, to zasługa (?) Luegera.

Z Polakami Lueger mało miał do czynienia. Trudno jednak zapomnieć, że on to „pokonał“ Badeniego za ustępstwa na rzecz równouprawnienia języka czeskiego... w Czechach. Należy też pamiętać, że luegerowska rada miejska z drwinami odzywała się o Sobieskim i że staczała boje o wydarcie nam kościółka na Kahlenbergu. Jeżeli się nie mylimy, to sam Lueger brał udział w tym boju i był nad miarę ...niesmaczny, (używamy wyrażenia nad miarę ...grzecznego).

W rezultacie kładąc na jedną szalę to, co mogło być dla nas w nim sympatycznego, a na drugą to, co nas w nim raziło, — najłagodniej, najspokojniej, bez „szowinizmu“ zapatrując się, należy powiedzieć, że jego osoba dla nas była obojętna.

Tymczasem dzienniki nasze przez cały miesiąc przynosiły łokciowe telegramy i korespondencye o chorobie Luegera Najdokładniej informowały nas ile ma gorączki, jaki puls, kto go odwiedza, z kim i co mówił, jak na rozwój choroby zapatrują się lekarze, jakie objawy sympatyi okazywała mu ludność wiedeńska, kogo wyznacza na swego następcę, jaki testament polityczny pozostawia swemu stronnictwu, jakie przebłyski dobrego humoru wychodziły z jego ust zbolałych...

A kiedy umarł, to ktoby spadł z Marsa, umiał po polsku i czytał dzienniki galicyjskie, sądziłby w pierwszej chwili, że.. Polska straciła najlepszego ze [illegible].

Utwierdziłyby go w tym sądzie wysłane na pogrzeb delegacye rad miejskich lwowskiej i krakowskiej, utwierdziłby go ostatecznie napis na wieńcu krakowskim: „wielkiemu burmistrzowi stolicy“. Boć stolicą Polski jest Warszawa, a więc wielki burmistrz stolicy, któremu hołd niesie Kraków, to burmistrz Warszawy. Wprawdzie burmistrzami są w niej Moskale, ale mieszkaniec Marsa mógłby sądzić, że podczas jego dłuższej podróży, wprowadzony już został samorząd w Warszawie, a na czele jego stanął Polak. I to Polak zasłużony, wielki, jeżeli mu hołd składa cała Galicya, nieuznająca dotychczas żadnej „swojskiej“ wielkości, jeżeli na pogrzeb jego jadą burmistrze Lwowa i Krakowa w otoczeniu przedstawicieli wielkich stronnictw politycznych.

W miesięczniku berlińskim „Deutsche Rundschau“ ogłosił historyk niemiecki, prof. Steinhausen, zajmującą rozprawę o znienawidzonym przez wszystkich narodzie Tym narodem są, oczywiście Niemcy. A nienawiść do nich nie jest bynajmniej uczuciem nowem. Ślady jej znaleźć można już w literaturze Rzymu starożytnego.

„Rzymianie — mówi Steinhausen — wyrażali się o szczepach germańskich z pogardą, upatrując w nich nieokrzesanych barbarzyńców, którzy byli zawsze niebezpieczeństwem dla kultury i cywilizacyi państwa rzymskiego. Ta opinia rzymska nie zmieniła się w następnych wiekach W Anglii w XII stuleciu uchodzili niemcy za stek wszelkiego barbarzyństwa i połączonej z tem skłonności do najbezwzględniejszego okrucieństwa“.

W średnich wiekach włosi nienawidzili niemców równie serdecznie, a jeden z pisarzy niemieckich owych wieków pisał z boleścią:

„Choćby Niemcy zdobyli nawet Ziemię świętą, nie pozbędą się nienawiści włoskiej... Włosi przeciwnie, będą ich tembardziej nienawidzić, życząc szczęścia raczej poganom“

Narodem który najczęściej stykał się z Niemcami, byli od niepamiętnych czasów Francuzi. I u nich nienawiść do germanów jest dziedziczna Już w średnich wiekach podrwiwali sobie z kultury niemieckiej i „głupich ludzi“ w krajach niemieckich.

„Kogo, jak kogo — pisze jakiś francuz, — ale niemców nie znoszę. Nie mógłbym wogóle żyć z niemi bo bełkotanie ich jest mi wstrętne“.

W epoce renesansu wzrosła jeszcze nienawiść włochów do niemców Rozkwit renesansowy w krainie Danta i Michała Anioła uwydatnił jeszcze więcej barbarzyństwo Niemiec ówczesnych i utwierdził uprzedzenia do „dzikości niemieckiej“.

Niektórzy francuscy i włoscy pisarze wyrażają się wprawdzie z pochwałami dla tego lub owego miasta niemieckiego, całość kraju przedstawia się im jednak jako barbarzyńska.

Dzięki temu w modę też wchodzi dworować sobie z nadbarbaryi północnej, robić ją przedmiotem szyderstw i wykwintnego dowcipu

I tak o Niemcach pisze pisarz włoski, Paggio: „I to mają być ludzie! Mili bogowie, spójrzcie na te ospałe, głupie, rechocące stworzenia, które Bóg i człowiek musi znienawidzić“.

Jeszcze gorzej wyraża się Giantonio Campana: „Wszyscy ludzie w Niemczech śmierdzą, to też nie dobrze mi się robi, gdy tylko ktoś wspomni o Niemczech“.

Zarzutem najbardziej podnoszonym przeciw Niemcom, był zarzut pijaństwa. W XVII wieku przechodzi przewodnictwo kulturalne Europy z Włoch do Francyi lecz i to nie zmienia opinii zagranicy o niemcach. Przeciwnie francuzi ostrzą swój przysłowiony dowcip, ilekroć mowa tylko o niemcach. Niemiecka kultura wydawała się francuzom plebejuszowską, gdyż — pominąwszy już brak towarzyskiego wychowania — brakło jej umiejętności pię-

knych", wszystkiego tego, w czem rozsmakował się wydelikacony estetyzm francuzów.

I te uczucia przetrwały do dnia dzisiejszego. Niedawno jeszcze skarżył się rozpaczliwie jeden z poetów niemieckich, że „Niemcy spoglądają na świat jak żebracy", że „nie mają przyjaciół", że „ze wszyskich kątów wyłazi nienawiść i wrzeszczy im do ucha posępną odpowiedź".

A Moltke? Pamiętne są jego słowa po zwycięskiej wojnie z Francyą: „Szacunek dla nas — mówił — wzrósł wszędzie, miłość nigdzie!"

KĄCIK JĘZYKOWY.

Mowa ludowa podobna jest do zaśniedziałych w ziemi skarbów, pełna złotych dawnych pierwiastków, ale i rdzy, i połamań i przeżytków niezdarnych, obecnie zastąpionych przez sprawniejsze narzędzia, i nawet barbaryzmów. To też nielada mistrz potrafi użyć w literaturze folkloru, a zwłaszcza domieszać go z pożytkiem do języka, którym przemawia od siebie. Kopiować mowę ludu jednej jakiejś prowincyi można w celu charakterystyki tejże prowincyi, dla naśladowania głosu i tonu ludowego, wreszcie dla humorystyki. Ale podniesienie gwary do godności indywidualnej mowy autorskiej, wymaga genialnego smaku, połączonego z gruntowną oryentacyą w historyi i w muzyce języka. Parę znam u nas przykładów doskonałego stworzenia sobie mowy własnej za pomocą przybrania mowy ludowej do literackiej: w prozie „Chłopów" Reymonta; w poezyi „Pana Balcera" Konopnickiej. Inne nowożytne próby różnej są wartości, niektóre zaś tworzą istne zakalce folklorystyczne. Folklor n. p. Wyspiańskiego bywa ciężki, nie eufoniczny; wpada ciągle w błąd użycia gorszej formy ludowej zamiast lepszej literackiej i tonu pospolitego tam, gdzie treść woła o dźwięk i wyraz wznioślejszy. Inaczej znowu, jak Konopnicka i Reymont, a równie świetnie folkloryzuje Kazimierz Tetmajer w swem „Skalnem Podhalu". Ale to już prawie tworzenie nowego języka i nowej literatury, z Polską tylko w związku zostających.

J. Weyssenhoff.

List „polski".

Jedna z krakowianek, która się dała złapać na zamówienie portretu u firmy „Fischbeim i Ritter" zobaczywszy okropny portret z tejże „fabryki" pochodzący, nie przyjęła przesyłki i otrzymała list tej treści:

C. Nr. 389. Oświęcim d. 1. Fäber. 1910

Frau...

Krakao

Z poczty dostalismy nakaz ze pani potret nie odbieze, ze nie jest nam znajomy trzemu pani potret nie odejmuje daliśmy poczty jeszcze raz znać zeby, jeszcze raz przekazali, prosimy Pani potret wymuwać jak pani nie wyjmie to nam z poczty nazad wrócą i musimy 2 K 50 h. odwrotny porto płacic. prsy ceny tego obrazu nie jeszdeszmy stanu odwrotny porto płacić, w takiem razie jak pani nie wyjmie potret, jezdeszmy zmuszone Pani przez naszego Awokata w Oderbergu zkarczc potret jest bardzo dobrze trafiony i pani się podobać bedzie daliśmy Panki obraz osobny dobry wykónczenie, bo chcemy z wieczymej Kundmanami z Krakowa miec, leze więc panskiej interresie sobie koszty nie zrobyć i potret wyjmować

Z powazaniem:

Fischbein & Ritter

Filiale Oświęcim

„Polska korespondencya handlowa". Odczyt pod tym tytułem wygłosił w Warszawie w lokalu Towarzystwa wzajemnej pomocy pracowników handlowych i przemysłowych m. Warszawy, członek tej instytucyi, p. Stefan Kecher.

Prelegent, w słowach pełnych sarkazmu, rozprawił się z gwarą obcojęzyczną, nazywaną „korespondencyą handlową". Piszcie tak, aby was wszyscy zrozumieli — mówi p. Kecher — urabiajcie język ojczysty na wzorach, jakiemi są utwory najcelniejszych pisarzów naszych, a nie przejmujcie niewolniczo przedrukowanych w przestarzałych podręcznikach: galicyzmów, germanizmów i rusycyzmów, w rodzaju: „w posiadaniu listu", „dlaczego pan nas negliżuje?" i t. p.

Błędne zwroty wraz z poprawną ich redakcyą uwidocznił prelegent na tablicach poglądowych; pierwsza z nich miała godło: „język ojczysty to skarb".

Wezwania Ligi Narodowej.

P. L. N. jest **„Związkiem Polskim"**, niezawisłym od stronnictw politycznych, stanowych lub wyznaniowych, dążących do budzenia i utrzymywania świadomości narodowej, poczucia łączności i wspólności interesów wszystkich rodaków, Towarzystw i organizacyi polskich, do wszechstronnego podniesienia dzielności, dobrobytu i prawdziwej kultury Narodu, zbierającym środki pieniężne na cele ogólno narodowe i spełniającym odpowiednio do sił i poparcia najważniejsze zadania programem swym określone.

Towarzystwo to działa w porozumieniu ze „Strażą Polską" w Krakowie i dlatego ogranicza swe działanie do Lwowa i Okręgu wschodniego naszego kraju.

Rodacy, nie zapominajcie o tem, że w narodzie tak zagrożonym jak nasz, każda jednostka chętna do działania, każdy grosz na cele obrony naszego bytu poświęcony ma swe znaczenie dla dobra ogółu, pamiętajcie, że obojętność i ociąganie się szkodzi sprawie narodowej i zniechęca inne jednostki, chętne i zdatne do pracy — więc, nie czekając na wielkie, porywające czyny, wstępujcie wszyscy w nasze szeregi jako członkowie czynni, spełniając jako pierwszy swój obowiązek złożenie podatku narodowego na rzecz P. L. N., który dobrowolnie, odpowiednio do swego dochodu rocznego ustanowicie.

Roczny podatek narodowy na rzecz P. L. N. wynosić powinien około $^1/_{500}$ części dochodu, czyli 2 kor. od 1000 kor. Najniższa wkładka roczna 2 korony. Członkowie płacący 6 lub więcej koron otrzymają organ Towarzystwa *Straż Polską* bezpłatnie.

— Pocztowy rach. czekowy l. 114.853.

Do Członków Ligi!

Przy sposobności Świąt powinien każdy członek Ligi pozyskać dla naszego Towarzystwa jednego lub więcej nowych członków — wtedy szeregi nasze wzmogą się o 2000 świeżych zwolenników i staną się najcenniejszym, bo żywym i twórczym pomnikiem grunwaldzkim!

Do Komitetów i Delegatów Ligi!

Prosimy o samodzielne szerzenie idei przewodnich P. L. N. w swych okręgach i o nadsyłanie sprawozdań, wkładek zebranych i wniosków swoich wprost do Biura skarbnika Ligi, (Lwów, Czarnieckiego 3).

Tamże są do nabycia pocztówki P. L. N. z „wezwaniami narodowemi" 30 kart za 1 kor.

Kronika „Straży Polskiej".

Koło Pań „Straży Polskiej" wydało następującą odezwę:

„Podnieść przemysł krajowy" to znaczy wyzwolić się z pod obcego przemysłu, a specyalnie u nas niemieckiego, który zalewa nas wszelkiego rodzaju tandetą - hasło to rozbrzmiewa u nas od lat kilku; powtarzamy go bezustannie, gdyż rozumiemy dobrze, że w urzeczywistnieniu jego leży siła nasza, leży przyszły dobrobyt kraju. Za hasłem jednak powinien iść czyn — powinna iść praca, rozumna, wytrwała, niezrażająca się niczem — ogarniająca nietylko interesujące się specyalnie przemysłem sfery, lecz cały ogół społeczeństwa naszego, a przedewszystkiem nasze kobiety, przez których ręce przechodzą produkta konsumcyjne i codziennego użytku, więc ogromny procent całkowitego społecznego zapotrzebowania.

Tak pojmując to hasło nasze z doby obecnej podjęło Koło Pań Straży Polskiej inicyatywę pracy w kierunku założenia pracowni i sklepu gotowych artykułów ubrań kobiecych dla których materyałów kraj dostarcza. Sklep taki oprócz sprzedaży już gotowych ubrań jak bluzki, halki, szlafroki, pończochy i t p. będzie miał na składzie gotowe ubrane kapelusze z prześlicznych bort wyrabianych w Krzeszowicach, wykonanych według najświeższych modeli paryskich, a które niską ceną skutecznie rywalizować mogą z przemysłem obcym. Z ufnością i wiarą, że ogół kobiet zrozumiawszy czem dla nas dzisiaj jest podniesienie ekonomiczne kraju i że do niego każde choćby najdrobniejsze usiłowanie przyczynić się może, z całą gotowością przedsięwzięcie to poprze, przystępuje Koło Pań Straży Polskiej w pierwszych dniach kwietnia do otwarcia przy ul. św. Jana L. 17. sklepu, polecając go opiece szerokiego ogółu naszych Pań z wszystkich sfer i zawodów.

Za zwrotem porta wysyłamy kapelusze na prowincyę do wyboru. Przed 5-tym kwietnia zgłoszenia należy adresować do Koła Pań Straży Polskiej, ul. Floryańska l. 1. Osobiste porozumienia, wyjąwszy soboty, codziennie między godz. 5-tą a 6-tą popołudniu, w biurze Straży Polskiej, ul. Floryańska l. 1.

Koło Pań Tow. Straż Polska.

Z inicyatywy Zarządu Straży Polskiej zawiązał się Komitet pomnika Juljusza Słowackiego w Krakowie.

Do Komitetu tego weszli: Dr. Wiktor Czermak, prof. uniw. Jagiellońskiego, ks. Dr. Franciszek Gabryl, prof. uniw Jag. Dr. Tadeusz Grabowski, prof. uniw. Jag. Dr. Franciszek Krysztalowicz, prof. uniw. Jag. Jacek Malczewski artysta-malarz, dr. Wacław Tokarz prof. uniw. Jag. Wacław Szymanowski artysta-rzeźbiarz i Kazimierz Bartoszewicz prezes Straży Polskiej.

Komitet ten rozpocznie swe czynności po świętach wielkanocnych. Pierwszem jego zadaniem będzie utworzenie Komitetu obszerniejszego, do którego zaprosi przedstawicieli wszystkich warstw społeczeństwa.

Jak wiadomo na ręce Straży Polskiej złożono dotychczas na pomnik Słowackiego 1100 koron.

Koło akademickie Straży Polskiej wydało sprawozdanie ze swej działalności za r. 1909. Z braku miejsca obszerniejszą wzmiankę o tem sprawozdaniu odkładamy do następnego numeru.

Zarząd Straży Polskiej na miejsce ś. p. Konstantego Moesa Oskragiełły zaprosił do swego grona radcę szkolnego prof. Czesława Pieniążka.

Wycieczki do Warszawy.

Wskutek niezwykłego powodzenia, jakiem się cieszyły trzy wycieczki *Straży Polskiej* do Warszawy, Zarząd gł. zasypywany jest pytaniami czy i kiedy urządza wycieczkę czwartą. Na to odpowiadamy, że to zależy od samych zgłaszających się. — Zarząd bowiem chętnie gotów urządzić nawet kilka w r. b. wycieczek, jeżeli znajdą się uczestnicy. Nauczony doświadczeniem zarząd proponuje 2 typy wycieczek: dla osób liczących się z funduszami i czasem, oraz dla osób, które pod tym względem mniej potrzebują się krępować. Dlatego też Zarząd zamierza urządzić na razie 2 wycieczki: 5-dniową, której koszta wspólne (kolej III. klasą z Krakowa i napowrót, hotel pierwszorzędny, obiady, zwiedzanie Wilanowa i drobne wydatki) wynosić będą od osoby 64 K. (klasą drugą 84 K.) — oraz wycieczkę 12-dniową, której koszta wspólne, wyżej wyliczone, wynosić będą dla jadących klasą III koron 104, dla jadących II. klasą 124 koron. Pierwsza wycieczka wyruszyłaby w końcu maja, lub z początkiem czerwca, druga z początkiem lipca. Co do drugiej (dłuższej) wycieczki możnaby ją małym kosztem (10 do 12 koron) urozmaicić, obierając drogę do Warszawy na Sandomierz, stamtąd parostatkiem do Puław, a z Puław koleją do Warszawy. Osoby pragnące wziąć udział w tych wycieczkach niech się raczą zgłosić do 15. kwietnia (adres: *Straż Polska*, Kraków, Floryańska 1) z wyraźnem oświadczeniem do której wycieczki chcą się przyłączyć (pragnący uczestniczyć w drugiej, niech zechcą odpowiedzieć czy zgodziliby się na drogę przez Sandomierz, Puławy). Wówczas wiedząc już mniej więcej o liczbie uczestników, będzie mógł Zarząd Straży podać zgłaszającym się bliższe szczegóły i ustalić termin obu wycieczek. Dodajemy jeszcze, że każdy uczestnik bez podwyższenia kosztów będzie mógł zatrzymać się z powrotem w Częstochowie

Wkładka roczna członka „Straży Polskiej" wynosi 4 korony.

Dwuhalerzowe marki „Straży Polskiej" można nabywać w lokalu Towarzystwa od godz. 11—1 i od 4—6 po południu

Czcionkami Drukarni Związkowej w Krakowie (ul. Mikołajska L. 13) pod zarządem A. Szyjewskiego.